№ 27. Warszawa, dnia 19 Czerwca (1 Lipca) 1876 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Wyjątek z opisu misyi
KS. ADOLFA BAKANOWSKIEGO
w Ameryce w prowincyi Texas*).

I.
Granice Texas, rozległość i ludność.

Texas najrozleglejsza prowincya Stanów Zjednoczonych — 237,000 kwadratowych mil.

Na wschód graniczy rzeka Sabina, na południo-zachód Rio-Grande, na południe zatoka meksykańska, na północ terytoryum Indyan.

Cały ten kawał ziemi texaskiej poprzerzynany wielu rzekami wpadającemi do zatoki meksykańskiej, ale żadna nie jest spławną. Źródła ich w północno-zachodnich górach.

Texas bardzo mało uprawny, rolnictwo prawie żadne, lubo ziemia żyzna, klimat umiarkowany. Najzdrowsza strona północna. Tam pną się pod obłoki malownicze góry — nie zawadzając wcale rolnikowi w jego pracy. Pola i łąki poprzerzynane przezroczystemi strumykami, zdobne pięknemi lasami i czystemi wód źródłami. Z przyczyny napadów Indyan tam jeszcze się kryjących, strona ta najmniej zaludniona. W południowej części chociaż brak wody i częste grasowanie żółtej febry, więcej jednak ludności, jak w pobliżu pocztowych miast ułatwiających jej handel. Kraj ten byłby najpożądańszy gdyby regularne padały deszcze; ten niedostatek niekiedy wielkie tam klęski sprowadza. Letnią porą, chociaż upały wielkie, ale przytem bez przestanku wieją chłodne wiatry, powietrze przyjemnie orzeźwiające. Zimową porą śnieg spada rzadko kiedy, i to na czas krótki, jednak powietrze zawsze mroźne; wiatry północne niekiedy tak ostro wieją, że zamarzają wody i przez kilka miesięcy trzeba palić w piecach.

Główne produkta: bawełna, kukurydza, trzcinowy cukier, ryż i tytoń. Owoce rozmaite, ale w małej ilości, bardzo wiele orzechów. Niezmierna ilość dzikiego bydła: koni, wołów, krów i owiec.

Ludność blisko milijona, rozmaitej narodowości. Meksykanie najdawniejsi, z pochodzenia hiszpańskiego, Francuzi z Louisiany, wielka liczba Amerykanów z zachodnich Zjednoczonych Stanów, Niemcy i Polacy.

Texas był krajem należącym do Meksyku, po rewolucyi w r. 1835 odstąpił od niego, formując za pomocą zagranicznych rządów, niezależną rzeczpospolitą. Z powodu wojen domowych ludność tutejsza wniosła petycyę do Washingtonu, który ją w r. 1845 wcielił do Stanów Zjednoczonych.

Główne mjasto *Austyn* na rzece Kolorado.

Galveston pierwsze pocztowe i najważniejsze miasto. Również pierwsze w niem biskupstwo, i aż dotąd tam jego rezydencya.

Matagarda, Houston, San Antonio, Corpus Christi, Indianola, miasta handlowe.

Bronsville, sławne w bitwie meksykańskiej wygraną Texasu.

II.
Przybycie do miasteczka Panna Marya.

Kiedyśmy objęli misyę w Texas, roku 1866, prócz jednego polskiego kościoła, w miasteczku „Panna Marya“, a w nim tylko cztery nagie ściany, nic więcej nie było. Nawet domu mieszkalnego nie było dla księdza, musieliśmy mieszkać razem z księdzem Feliksem Zwiazdowskim (kapłan tegoż Zgromadzenia) w maleńkim pokoiku nad zakrystyą, pod samym dachem, gdzie w nocy pełno było nietoperzów.

Upały Texaskie dokuczały nam tem bardziej, żeśmy nie mieli prócz dachu żadnego sklepienia, a ten tylko stopa nad głową. Jadowite robaki, tarantule, skorpiony i węże plądrowały tam jakby w siedzibie własnej. Odrazu musieliśmy się nauczyć praw texaskich i karać śmiercią niebezpiecznych nam starych lokatorów. W zakrystyi, w kościele jeszcze niebezpieczniej, prócz powyższych płazów, czołgały się jeszcze grzechotniki, jakby w dzikiem, zarosłem polu. Przy pierwszym chrzcie, kiedym otworzył drzwiczki od chrzcielnicy, na pierwsze wejrzenie spostrzegłem dwa wielkie węże, obwinięte w około chrzcielnicy, z której pokrzepiały się święconą wodą. Zaraz przybiegli ludzie i niedowierzając ich poświęconej poczciwości, wyciągnęli i ukarali śmiercią.

Musieliśmy z tym rodzajem jaszczurczym ciągle staczać walki.

Panna Marya, zaludniona Polakami z Górnego Szląska. Otoczona dwiema rzekami: na północ i wschód rzeka San Antonio, na południe i zachód — Cebula.

Ludność dochodzi do tysiąca. Kościół w pośrodku domków, zdala już wita wszystkich przechodniów, i dźwigając krzyż na swej wysmukłej wieżyczce, cichą i spokojną mową pociąga wszystkich serca do góry, wskazując gdzie cel naszej pielgrzymki doczesnej, to jest tam, gdzie pokój i szczęście ludziom.

Wspomniałem wyżej żeśmy razem z księdzem Feliksem mieszkali pod dachem nad zakrystyą.

Zimową porą dla braku pieca nie mogliśmy tam pozostać. W zakrystyi był mały kominek, więc ks. Feliks przeniósł się tam na zimę, a ja do maleńkiego domku niedaleko kościoła. Ale jakiż on? Oto kilkadziesiąt kroków dalej jest tam śpichlerz, przezna-

(*) Wyjątki te z listów prywatnych nie przeznaczonych do druku przez Szanownego kapłana, drukujemy bez żadnych poprawek, zachowując całą niewymuszoną prostotę opowiadania, przypominającego niezmiernie pamiętniki Paska. Szczerość jednak i prawda widnieją tu w każdym szczególe, które razem połączone dają wielce zajmujący obraz, osiedlonych w tak dalekiej stronie polskich wychodźców ze Szlązka. *Red.*

czony na zbiór kukurydzy dla konia ks. Proboszcza. Był on wówczas próżny, więc przeniosłem się tam na mieszkanie...

Bez okien, z rozwalonemi drzwiami, z poszarpanym dachem tak, iż najdogodniej można było widzieć i rozpoznawać gwiazdy. Kazałem tylko wymurować komin, i zawiesiwszy baldachim z płótna nad łóżkiem, bo na dach nowy niemogłem się zdobyć, przeniosłem się na zimę do mojego domku.

Po ustawieniu łóżka i stolika, ledwo wykręcić się było można. Okien nie było i potem, tylko okiennice, a komin tuż obok łóżka dostarczał mi dymnego ciepła. Podczas burzy musiałem drzwi i okna zamykać, a wtedy kominek dostarczał mi światła, ale przytem pełno dymu, kurzawy z węgli tak, iż nieraz pomimo woli łzy gęste spływały po licach, choć ciche i spokojne, ale czegoś smutne i rzewne. Miałem wprawdzie domeczek biednie zewsząd wyglądający, alem czuł się tam być szczęśliwym i zadowolonym. Nie pragnąłem więcej niczego. Miałem świat swój własny w duszy swojej; i tam szukałem królestwa Bożego, piękna, światła i siły wewnętrznej. Czułem całą wyższość duszy mojej nad światem zewnętrznym, i widziałem jej siłę i potęgę nad nim. O jakaż to wielka prawda, że kiedy jesteśmy usunięci od wpływu i wrażeń zewnętrznych, kiedy oderwani od świata, w skupieniu ducha rozmyślamy nad własnym i świata końcem, wtedy dopiero stajemy się jego panami. O jakże biedne serce przywiązane do uciech światowych, szuka tam dla siebie swobody i życia, woła o wolność i ginie w jarzmie niewoli, upija się jego rozkoszą, a w końcu połyka zwątpienie i rozpacz. Serce światowe nie chce wierzyć w szczęście samotnego pustelnika, ale za to z jakąż ufnością rzuca się w objęcia świata i składa mu w ofierze wszelką dziewiczość, tkliwość, szlachetność, i podniosłość uczucia i sprzeda wszystko za kilka chwil użycia rozkoszy zmysłowych, chociaż potem ogołocona ofiara z dóbr dla niej właściwych ginie ciężko, boleśnie, wstydliwie i haniebnie.

Wiatr w mojej chatce gospodarzył jak w polu. Przez rozmaite szczeliny i szpary, świstał dzikim tonem rozstrojonych stepowych akordów, a zawsze smutno i tak żałośnie jakby pieśń dusz cierpiących. O ileż ich biednych, mówiłem sam w sobie, również jak i ty lecą wichrem namiętności swoich w przepaść nieszczęścia! Jak i ty pędzeni siłą ślepą, bierną, smutne w doświadczeniach wydają tony, i równie z tobą niepowstrzymane giną w bezdennych przepaściach nicestwa! Dla utrzymania w chatce najmniejszego ciepła, w kominku dzień i noc musiał tleć ogień. Stos drzewek zawsze mi dostarczano, i składano obok łóżka, w nocy ledwom się obudził, na pół senny chwytałem za polano, i dorzucałem do prygasłych węgli. Niekiedy gdym mocniej zasnął i nie obudził się aż nade dniem, w kominie wszystko zgasło, a sam cały zziębnięty, dzwoniąc zębami, musiałem rychło wstawać, rozpalać na nowo ogień, ogrzewać siebie i wodę zamarzniętą do umycia się.

Obok mnie pod jednym dachem, ale z osobnem wejściem do komórki, mieszkał p. Barzyński, Ojciec ks. Wincentego z naszego zgromadzenia. Pokoiczek ten sam sobie zbudował z rozmaitych starych desek i łat, okleiwszy razem papierami, gałganami, z dodatkiem sznurów i gwoździ. Istny cygański szałas, przyległy do mojej chatki, z jednem oknem, bez szkieł i okiennicy, w czasie burzy i niepogody zasłonięte starem płótnem. Wiatr jeszcze bujniej niż u mnie świstał i podmuchiwał liczuemi szczelinami. To było jego laboratoryum zegarków, rozmaitych maszyn, wynalazków, nawet perpetuum mobile. Letnią porą dokuczało mu tam słońce nieznośnie. Pomimo jednak duszących upałów, tak był zawsze zajęty w swoim gabinecie pracą, iż mało na nie zważał, dopiero pod wieczór zgrzany i zmęczony, rozrywał się najczęściej polowaniem, w którem był arcybiegły. Zimową porą, zimno mu dokuczało jeszcze bardziej niż w mojej chateczce. Pieca nie miał wcale, bo też nie było nawet miejsca gdzie go umieścić, musiał więc dla ogrzania się przychodzić do mnie.

— Dzień dobry!

— Jak się pan masz? A co tam, zimno? choć zagrzać się.

— O zimno, zimno! Proszę sobie wyobrazić, wiatr tej nocy tak był silny, że powypychał mi ze szpar wszystkie gałgany, i tak podświstywał jakby dmuchał temi rurkami, któremi lutuję kółeczka przy ogniu. O jakże to przenika doprawdy, że aż kości bolą!

— I czyż w nocy tego nie czułeś?

— Ba! czułem, ale zimno było wstawać, szukać gałganów, i zatykać na nowo szpary. Musiałem cierpieć aż do dnia, grzejąc się w imaginacyi kominem księdza.

— Więc teraz wiatr polutował stare kości?

— To prawda, choć mrozem, ale piekł ogniście! ha! — cóż robić! niech to Bóg policzy za czyściec, jednak w duszy zdrowo i wesoło, mogę również z filozofem greckim i na swym domku napisać: mały dom, wielki spokój.

— A jakże się ma perpetuum mobile?

— Ot, wiesz co, nadziei nietracę, już wynalazłem zwrotną siłę, a nad tą właśnie od początku pracuję; teraz pójdzie łatwiej.

— Wątpię, to niepodobnem, lepiej dać pokój tej maszynie, a wziąść się do innej, odpowiedniejszej siłom ludzkim.

Potem niby się przekonawszy, odłożył na czas inny tę pracę, a wziął się do robienia maszyny rznięcia kamieni w sposób do upodobania. Muszę przyznać, że pan Barzyński, obok dobroci serca, prawej sumienności, przyjemny w towarzystwie, zdrowy do rady i uzdolniony do sztuk mechanicznych.

Poczciwi moi parafianie odwiedzali mnie dość często i pocieszali przyszłym pięknym domem jak mogli i umieli.

— Jakże się ma ksiądz proboszcz! czy jeszcze nie zamarzł! O mój Boże, jakże tu ksiądz musi biedować, ale to Bóg pocieszy, na wiosnę zaczniemy budować dom.

— Dziękuję wam Wawrzyńcze, trochę zimno i biednie, ale cóż robić, początki muszą być zawsze takie!

— Oj, to prawda! cośmy tu ucierpieli w naszych początkach. Myśmy nie mieli żadnej chatki, tylko pole, drzewa, krzaki i dęby za ochronę. Przyjechało nas razem około 100 familji — to było w roku 1854 stanęliśmy tu obozem na tem miejscu „Panna Marya" gdzie ani kościoła zapowiedzianego, ani żadnej chateczki, nawet nikogo z ludzi nie było. Niekiedy ktoś z Amerykanów się pokazał, nie mogliśmy się z nim rozmówić; jeden naśmiał się, drugi podziwiał i odjechał. Trawa wszędzie tak była wielka, że ledwo o kilka kroków jeden drugiego mógł dojrzeć. Wężów, grzechotników, co krok to kilka można było spotkać. Oj! doznaliśmy wtedy ciężkiej biedy! Ludzie z głodu marli, chociaż wiele jeszcze miało pieniądze, ale nie mieliśmy nic do kupienia, ledwo kto z nas wyszedł z miejsca, już z biedą mógł trafić napowrót. Płacz, narzekanie naszych kobiet i dzieci, jeszcze bardziej nieszczęście pomnażało. Wszyscy musieliśmy chodzić z kijami, motykami, widłami lub rydlami, bo co krok leżał grzechotnik, wielu też od ich ukąszeń poumierało. Mieszkaliśmy w jamach pokrytych chrustem lub badylami. Kiedy bieda na dobre poczęła dociskać, musieliśmy rozejść się na służbę do Amerykanów, ale mój Boże, po kilku miesiącach pracy, zamiast zapłaty, grozili nam rewolwerem, i myśmy z niczem wracali do domów, a w domu nędza, głód, o chleb proszą i płaczą dzieci. Oj! było to — było ciężko, na samo wspomnienie płakać się chce. Zaczęliśmy potem budować oto ten kościół, postawiliśmy domek dla księdza Moczygęby, widzi ksiądz proboszcz oto tę starą wozownię, to była fara. O jak kontenci byliśmy żeśmy dostali księdza, on nam potem dopomógł.

Razu jednego ks. Moczygęba zaprosił do siebie nowo-przybyłych Polaków na obiad. Ci tak przed nim boleją, żalą się i narzekają, po co tu przyjechali, że taka dziczyzna w około. Ksiądz ich pociesza, uspokaja, że już pierwsze złe minęło, teraz idzie lepiej i niezadługo odmieni się to wszystko; aż w tem ledwo zupę na stół podali, z dachu na środek stołu klapnął grzechotnik. O mój Boże! cóż my wtedy doznali strachu i smutku! Złote Szląsko nam się wydało! I tak Bogu dzięki, pomału, pomału, przyszliśmy przecie do obywatelskiego życia, i dzisiaj mamy się już nieźle, Panna Marya znaczna, i nasz ksiądz przyjdzie niezadługo do lepszej wygody.

Jednak nim mi dom pobudowali, mieszkałem w tej chatce dwie zimy.

Początki kolonizacyi polskiej w Texas, rzeczywiście były smutne i opłakania godne. Osiedleni bez domów, pod dębami, lub w jamach pod chrustem, w towarzystwie rozmaitych jadowitych płazów, wystawieni na pastwę burz texaskich, bez znajomości krajowego języka, wśród dzikich Amerykanów, musieli wiele i długo cierpieć, nim wreszcie po upływie dziesiątka lat, przyszli do sposobu utrzymania biednego życia, i spokojności obywatelskiej. Długo jeszcze potem nawet i przy nas powtarzały się krwawe sceny napadów i rozbojów, ze strony Amerykanów. W podróży, w domu nawet i w kościele, nie mieliśmy od nich pokoju. Gdy bywały wesela, lub inne zabawy polskie, zawsze przybywali Amerykanie ze zbroją i swawolili dowolnie.

Jednego wieczora modląc się przy kościele, nagle trzej Amerykanie przybieżeli na koniach i poczęli strzelać na kościół. Jeden z nich chciał wbiedz do zakrystyi i strzelać w kościele, wtedy chwyciłem kij z ziemi, i mimo uzbrojonych rabusiów biegłem z kijem za nim, grożąc uderzeniem jeśli nie cofnie się nazad. Bogu dziękowałem żem sam kulką nie dostał, bo oto jeden z rewolwerem przede mną, a drugi zaraz za mną, znagła pchnięci jakby jakąś tajemniczą siłą, odbiegli od kościoła dając strzały w powietrze. Złość ich nie znalazła satysfakcyi przy kościele, więc na drodze strzelili do Polaka i zranili w nogę a potem niewiastę nożem.

Widząc takie smutne przypadki, mając przytem rozległą przestrzeń do objazdu w misyi, po której często musiałem wędrować konno, przeto dla postrachu podobnych rabusiów, równie jak dla obrony od wężów i dzikich zwierząt, kupiłem sobie rewolwer. Wyćwiczywszy się nim wprawnie władać, towarzyszył mi zawsze w drodze razem z różańcem.

W roku 1868 w pierwszy dzień świąt wielkanocnych mieliśmy następujący przypadek. Podczas wielkiego nabożeństwa, kiedy wszyscy mieszkańcy z Panny Maryi zebrani byli w kościele, z rozmaitych stron zjechali się Amerykanie w celu naigrawania, zaczepek, nawet i bitwy z nami.

Wszyscy byli uzbrojeni ale nikt z nas, bo któż się spodziewał, że trzeba było broń zabierać z sobą do kościoła.

Po skończonem nabożeństwie Amerykanie rozpoczęli bitwę. Było ich pewno około 80 na koniach, oprócz tego ukazało się wiele rozmaitych kolasek, powozików napełnionych paniami, które zdala przypatrywały się jak Amerykanie strzelać będą do Polaków. Walka rozpoczęła się naprzód od kamieni,

Amerykanin strzelał z dubeltówki do niewiast stojących pod kościołem, ale mu pistony nie wypaliły. Kiedym spojrzał na to barbarzyństwo, przyznam się że śmiechy i szalone oklaski Amerykanek, tak mię rozdrażniły, żem chwycił za rewolwer, i wyszedłszy na balkon nowego mojego domu, strzeliłem, świsnąwszy kulą tylko parę stóp nad głowami dziko radosnych Amerykanek. W jednej chwili zmieniłem całą postać krwawej komedyi, już na placu ani jednego nie widzieliśmy Amerykanina, a owe tkliwe panie uciekały spłoszone, aż się kurzyło za ich kolasami. Nasi zaś na dane hasło wszyscy przybiegli do mnie, kilku z nich dostało już palną broń, i jakby z fortecy, z mojego domu, gotowaliśmy się do nowej walki.

Ledwo 15 minut ubiegło, naprzeciw nas ukazało się 8 śmielszych napastników grożących nam wystrzałami. Wtedy odezwałem się do swoich, by nie dawali ognia — aż wpierw ztamtąd uderzą. Obie strony trzymają broń w ręku, obie grożą i mierzą, aż wreszcie widzimy Amerykanów czyniących zwrot w tył i znikających między drzewami pobliskiego lasu. Na tem się scena skończyła.

Smutno, pomyślałem, zamiast lepiej, coraz gorzej, co tu począć? Skarżyć niewiadomo do kogo, gdyż szeryf i jego deputowany, jak równie i inni panowie przestrzegacze publicznego bezpieczeństwa brali udział w tej dzikiej zabawie. Innej rady nie ma, jak trzeba apelować do władzy wojennej, trzeba udać się z prośbą o najprędszą pomoc do główno-dowodzącego wojskami, inaczej wszyscy musimy ztąd uciekać. Na drugi dzień, ułożyłem prośbę, zebrałem podpisy i dalejże szukać ktoby ją najprędzej zawiózł. Tu znowu kłopot, strach zagrodził drogę.

— Ja nie pojadę, odezwał się pierwszy, bo mnie mogą zabić gdzie w krzakach.

— Jabym jechał, odrzekł drugi, ale mi matka nie pozwala, bo się boi, że mnie zabiją.

— A ja nie mogę, trzeci odrzekł, mam żonę i dzieci, a Amerykanie to zawzięty naród, mogą byle gdzie zemścić się i sprzątnąć człowieka.

— Wie ks. proboszcz co, rzekli wreszcie wszyscy, lepiej temu dać pokój, bo i księdza jeszcze gdzie zabiją, a czy to księdzu tego trzeba!

Takie i tym podobne sypnęły się wymówki i nie było komu jechać.

— O bracia, odezwałem się z oburzeniem. Wczoraj strzelali do waszych żon i dzieci, nas wszystkich zatrwożyli w tak ważnym dniu, rok temu strzelali także do kościoła, ranili chłopa i niewiastę, sami widzicie jak takie zbójeckie napady rosną coraz groźniej. Boicie się ich zasadzek na polu, w krzakach, ale oni znając wasze tchórzostwo, przychodzą i przyjdą do waszych domów, a tam do was strzelać będą jak tego nie jeden mieliście już przykład. Taka bojaźń nie ma żadnej zasługi przed Bogiem a przed ludźmi was hańbi... Kiedy żaden z was do San Antonio nie chce jechać, pojadę ja jutro razem z księdzem Feliksem.

Na drugi dzień, w Imię Boże, z różańcem w ręku i rewolwerami w olstrach ruszyliśmy do San Antonio. Podróż mieliśmy szczęśliwą aż do samego miasta. Po przedstawieniu całej sprawy główno-dowodzącemu wojskami w San Antonio, w kilka dni potem przybyła do nas na stałe mieszkanie kawalerya. Odtąd rozpoczęło się inne życie, wojsko mieliśmy u siebie rok cały. W ciągu tego czasu wszystko zostało odmienione, zaprowadzono nowy porządek przy nowych dobranych urzędnikach. Po ośmiomiesięcznym pobycie wojsk, gdy kapitan opuszczał Pannę Maryę z wojskami, powiedział mi, że 150 rabusiów w tym krótkim czasie było złapanych i śmiercią ukaranych. Kara śmierci była przez powieszenie lub rozstrzelanie, stosownie do winy.

Po upływie trzech lat naszego tu pobytu, zbudowali mieszkańcy piękny dwupiętrowy murowany dom, przeznaczony na szkołę i plebaniję; odtąd już mieliśmy lepszą sposobność prowadzenia życia w porządku nam przynależnym. Dom ten zbudowany obok kościoła na wyniosłym pagórku, piękny z niego w około przedstawia się widok. Z jednej strony domki naszej wioski, za nimi lasek, z drugiej pola i łąki widać w przestrzeni na mil angielskich 15.

Naprzód ścielą się przed okiem bujne wiejskie ogrody zasiane kukurydzą i bawełną, o szczęśliwości zbioru wróżą, gdy deszcze w porę przechodzą. Dalej w dolinie płynie rzeka San Antonio, a nad jej brzegami wyniosłe orzechowe drzewa, i wybujałe krzewy pną się do góry—cieniąc dziką dolinę na 40 stóp głęboką.

W dolinie tej krzaczystej jakby w lesie, cicho szumi rzeka, miejscami ciemno w zarośli i przedrzyć się niepodobna, zobaczysz jeno spragnione sarny, albo skaczące wolno zające, dzikie koty, nawet i panterę. Zlatujące czaple, stada dzikich indyków orzeźwiające się przy wodzie; nieraz tam zobaczysz także i krokodyla wygrzewającego się nad brzegami rzeki, nie mówiąc już o rozmaitych wężach, gdzie szczególniej ich siedziba i prawo do plądrowania.

Balkon naszego domu wychodził ku tej malowniczej stronie, na którym znużeni po dziennych upałach, pokrzepialiśmy się świeżością wieczornego powietrza.

Gdy słońce chyli się ku zachodowi, powietrze bardziej się ochładza, wtedy jakoś rzewnie na naszym texaskim świecie. Jeszcze przed domem stado wróbli odprawia hałaśliwy sejmik, spiesznie szukając swojej wieczerzy, kury coraz powolniej gospodarują przed domem, jedne już na drzewie, drugie wzlatują i znowu spadają nie znalazłszy tam miejsca dla siebie. Poważny kogut jeszcze raz zapieje przed progiem domu, i podobnież wzleci spoczywać na drzewo. Wkrótce wszystko cichnie, tylko psy i pieski nasze jeszcze harcują po trawie, bo czują, że wkrótce muszą się rozejść do swoich domów, i trzymać służbę nocnej straży. Nakoniec wszystko pogrąża się we śnie i spoczywa.

Po chwili ciszy rozlegają się w powietrzu wycia wilków, i donośny gwizd pantery niedaleko domu. Wtem coraz to ciemniej, wiatr poczyna dąć z północy, powietrze zimne przenika, niby jakiś tuman wznosi się na dole, a w górze wysoko krążą czarnych chmur powodzie — wśród których niekiedy pokazuje się księżyc. W takich wypadkach wcześniej niż zwykle wracaliśmy z balkonu do pokojów, — zamykaliśmy drzwi i okna szczelnie, bo to znak bliskiej burzy z wiatrem północnym.

Wycie wilków jeszcze bardziej rozlega się w powietrzu. Ha! cóż ich tam być musi! Wnet z gwałtownym wichrem pada deszcz ulewny.

Piorun uderza za piorunem — trzy i pięć naraz. Cała natura wzburzona, świst, hałas, szum i wycie wiatrów jeszcze więcej przerażają! Straszne burze o jakich nigdy w Europie nie miałem wyobrażenia! Często zdawało się że kościół i dom nasz ulegną zburzeniu; bo co drzewa to z korzeniami burza wyrywa. Zwyczajnie owe szalone harce natury trwają dobrze pół godziny; grad zaś pada do trzech i pięciu funtów wagi, a każdy kawałek lodu nieforemny. Łatwo pojąć jakie szkody nie już w zasiewach, ale w dobytku czyni.

Pewną razą podczas podobnej burzy lędwośmy się pokładli, słyszę jakieś stukanie na dole, przysłuchuję się lepiej, rzeczywiście słyszę kogoś. Zdziwiony coby to było — szkoła o tej porze próżna i zamknięta, tłumaczyłem sobie, że zapewne tak mi się zdaje, może tętni w uszach echo dopiero ucichłej burzy, Po chwili silniej coś stuknęło, chrapnęło, i parskło niby koń. O! to strachy jakieś, teraz już napewno że one. Wszelki duch Pana Boga chwali! Trzeba budzić drugich, i dalej wyszedłszy na korytarz zawołałem by pójść razem zobaczyć co to za strachy na dole. Idziemy tedy z panem Barzyńskim, ja z różańcem niby naprzód, a co krok cofam się w tył szukając kija. Zbliżamy się obaj do miejsca strachów, aż wtem znowu jak parsknie przed nami, stuknie kopytkami, ledwo żeśmy się nie przewrócili na schodach.

— Co za bies? poczekaj bo doprawdy jakiś tam dyabeł rogaty stoi, wróćmy się prędzej nazad i weźmijmy lampkę.

Wnet takieśmy uczynili, i idziemy powtórnie, jeden z latarnią i święconą wodą naprzód, drugi z ogromnym kijem, a trzeci dowiedziawszy się o smutnej naszej wyprawie — chwyta rewolwer i pomału z tyłu za nami dybie. Kiedyśmy wreszcie przyszli i rozpatrzyli przy świetle lampki, a to kozły i barany zapełniły cały korytarz, kryjąc się od burzy i deszczu. Wiatr ze szturmem otworzył drzwi, te zaś korzystały z pory. Cała parada skończyła się wypędzeniem strachów i zamknięciem drzwi szczelniej. Teraz już wszystko dobrze, chodźmy spać!

Zaledwo zasnąłem, zdało mi się że jakieś dzikie ptastwo ogromnej wielkości lata nad głową i chce mnie żywcem zadziobać. Uciekam i bronię się jak mogę — aż się obudziłem; przestraszony — jeszcze bardziej się zląkłem gdym spostrzegł rzeczywiście jakieś ptaki w pokoju, wciąż nad łóżkiem latające. A toż co? Wszelki duch — czy ten spiriantus już się w ptaki przemienił? Chwytam czemprędzej kołdrę, nakrywam głowę i dalej do robienia światła. Patrzę, ptaki, przypatruję się lepiej — nietoperze. A! pomyślałem, chociaż to nocne ptaki wleciały tu przez otworzone okna, ale tak dokuczać człowiekowi, to troszkę za zuchwale. Otóż teraz wszystkie śmiercią ukarzę. Postawiwszy lampkę w końcu, wziąłem miotłę i machając nią w powietrzu tłukłem nietoperze w locie. Tymczasem biegając tak po pokoju, świstaniem miotły obudziłem jednego z moich sąsiadów. Ten usłyszawszy jakiś dziwny szelest, przelękniony na razie, pomyślał że to dyabeł na korytarzu koziołki wywraca; po chwili rozwagi, poznawszy że coś się dzieje w moim pokoju, zrywa się czemprędzej z łóżka i biegnie do mojego pokoju. Snać niemałym strachem pędzony, kiedy przy gwałtownem otwarciu drzwi o próg zawadza nogami, i w oka mgnieniu jak topola podcięta pada z trzaskiem na podłogę mojego pokoju. Oczywiście, że i sam nie byłem obojętny na taką niespodziankę. W jednej chwili gdy ten z łoskotem się wywraca, ja z miotłą i prześcieradłem na głowie, dalejże probować gimnastyki z drugiego piętra przez okno — i skoczyłem. Szczęście że na murawę, lubo i tak nie małom się potłukł. Wstałem, otrząsłem się i patrzę w górę co też teraz tam się dzieje w domu, co to wszystko ma znaczyć! Wreszcie po pewnej reflekcyi, osłoniwszy się prześcieradłem zdążam do drzwi frontowych, i oto spotykam moich panów, którzy przerażeni wyszli przekonać się, co się ze mną stało. Po krótkiej rozmowie, przekonaliśmy się znowu żeśmy byli zawiedzeni, że tylko trwożliwa imaginacya jednego strachem obaliła na podłogę, drugiego zmusiła zmykać przez okno. Oto i drugie strachy tej nocy. Nietoperze pozabijałem, okna zamknąłem i położyłem się na dalszy spoczynek.

Trupów rano znalazłem do trzydziestu.

(d. c. n.).

AUTOROWI

odpowiedzi na wiersz p. t. „Umiej.“

Chcesz punkt oparcia dla zbolałej duszy,
Żądasz ode mnie by ci wskazać drogę,
By odczuć ogrom twej srogiej katuszy.
A jednak wątpisz czy to odczuć mogę?

Gdy duch nasz bólem otoczon do koła,
Bezwładne brzemię na barki nam wkłada,
O! gdy o ulgę w tedy kto zawoła,
Widzimy ile jeszcze sił posiada!

Łatwo mi cieszyć. — Łatwo leczyć rany,
Bo wiem jak bolą i co im potrzeba,
I w jakiej chwili jaki cios zadany,
I jaka chmura dzieli nas od nieba.

Łatwo dłoń podać kiedy wyciągnięta
Długo na bratnie ściśnienie czekała,
Z sił wyczerpana jako ga'ęź ścięta,
W próżnym wysiłku już opadać miała.

Chcesz celu. Kochaj! i żyj dla wszech świata;
Pracuj! Jak? znajdziesz to w swojem sumieniu,
A w tłumie ludzi naucz się czuć brata,
Miej tyle siły by żyć w poświęceniu.

Uczuciem rozgrzyj swe serce złamane,
Niech żyje, walczy, kto jak ty czuć umie,
Kocha co godne by było kochane,
Kto jak ty wyższy cel życia rozumie.

Spieszyć ku tobie, — czyż się wahać mogę,
Kiedy cierpienia chcesz podzielić ze mną?
A wspólną siłą duchy znajdą drogę,
O! wtedy praca nie będzie daremną.

Eliza R.

Urywek z życia

POWIEŚĆ

PRZEZ

Elizę R.

(Dokończenie).

I znów wszystko powróciło do zwykłego trybu życia. Stanisław był szczęśliwym. Marzył iż kiedyś równie jak brat stanie się powszechnie szanowanym obywatelem. Myślał o małych przeciwnościach, jak o drobnostkach, które tylko na to Bóg zsyła, by szczęście słodszem po nich się wydało. Z radością widział upływające dnie, jakie go dzieliły od pomyślnej odpowiedzi spodziewanej od matki. A potem—potem! Tu już myśl jego nie streszczała się w słowach, przedstawiała się tylko jak apoteoza, do której się uśmiechał radośnie.

Wreszcie nadeszła upragniona chwila. Pewnego dnia przy śniadaniu oddano Anusi kilka listów, które ona wręczyć miała adresantom. Serce Stanisława silnie biło. Pierwsze dwa listy były do samej pani Steckiej, następny podała siostrze, a w końcu spojrzawszy na adres ostatniego rzekła:

— Pewnie już nam braciszka odwołują, oto list do pana. Młody człowiek poskoczył szybko a schwyciwszy papier, wybiegł z pokoju. Ręce mu drżały, gdy rozdzierał kopertę i gorączkowo czytać zaczął:

Mój drogi Stasiu! pisała pani Stecka. Wszystko co mi w swym liście donosisz uważam za niedorzeczne dzieciństwo, i aby ci dowieść że pragnę twego szczęścia, w tych dniach udaję się do rodziców Julki, by prosić o jej rękę dla ciebie. Te uczuciowości w jakie się wdajesz nie podobają mi się wcale, gdyż do niczego nie prowadzą, a kiedy odwołujesz się do mego rozsądku, czynię co on mi nakazuje.

Kochająca cię

Matka.

Stanisław nie doczytał do końca. Blady jak ściana wbiegł do pokoju gdzie państwo Janowie znajdowali się jeszcze, a usiłując nadać głosowi zwykłą spokojność, rzekł:

— Jasiu, dziś pragnę wyjechać!

— Niepodobna! zawołali z przerażeniem Jan i Anna.

— Muszę — odparł młody człowiek, muszę koniecznie i to niezwłocznie.

Ufał bowiem iż przybędzie na czas by zamiarom matki przeszkodzić, uważał to za jedyną deskę ratunku, bo w razie gdyby Julija zezwoliła wyjść za niego, nigdyby jej prawdy nie wyznał.

Jan ze smutkiem spełnił żądanie brata, i w dwie godziny powóz Stanisława oddalał się od ganku białego dworku, w którym spędził najmilsze dnie życia swego; nie jedno westchnienie i myśl nie jedna pogoniły za nim.

Smutno było w Zagórzu po wyjeździe Stanisława. Jan poruszał ramionami, Anusia zatapiała się w wspomnieniach, chcąc odgadnąć, coby spowodować mogło ten raptowny wyjazd? Lecz nic przypomnieć sobie nie mogła. Jedna tylko Zofija domyślała się, że niepokój i pośpiech Stanisława złączone były ściśle ze słowami, jakie sam do niej wyrzekł: „O jestem bardzo nieszczęśliwy!“

Od chwili jak się dowiedziała o nagłym wyjeździe Stanisława, Zofija unikała spotkania z nim bez świadków; on przeciwnie zdawał się go szukać. Lecz dwie godziny dzielące chwile oddania listu od wyjazdu minęły szybko, a Zofija nie opuszczała siostry na chwilę, to też wyjeżdżając młody człowiek przycisnął tylko do ust jej rękę i łza zabłysła w jego oku. Zofija to spostrzegła a ręka jej zadrżała w jego dłoni.

Pani Janowa patrzała badawczo na siostrę, gdy wieczorem zebrano się jak zwykle w salonie, a była to chwila w której zwykle młodzi ludzie śpiewali razem przy fortepianie. Twarz Zofji była blada lecz spokojna; nie poszła jednak do fortepianu lecz skierowała się ku drzwiom otwartem na ogród, a usiadłszy na ławce w pobliżu stojącej patrzyła na migocące gwiazdy.

— Zaziębisz się Zosiu! zawołał Jan z głębi pokoju, chcąc ją wyrwać z zamyślenia.

— Wróć do domu, zaśpiewamy razem! dodała Anna.

Zofija powróciła i usiadła przy fortepianie, zostawiając siostrze wybór w stosie nut leżących na półkach, Anusia położyła przed nią duet, który zwykle ze Stanisławem śpiewali. Dziś głos Zofji był jeszcze bardziej rzewny, drżał gdy silniej miał się wydostać z piersi, w cichszych tonach słychać było łzy stłumione, a całość przebijała żalem i cierpieniem.

— Słusznie powiedziano, że najskrytsze nawet uczucia malują się na twarzy podczas śpiewu i modlitwy, rzekł Jan do żony, gdy się znaleźli sami. Wyjazd Stasia zrobił przykrość Zosi!

— Ani chwili o tem nie wątpiłam, iż ją to bardzo dotknęło, myślę jednak że lepiej iż uczucie to zniweczone w swym zawiązku zostanie, jeżeli później nie ma przyprowadzić do pożądanego celu — odparła Anusia. Jan byłby jeszcze więcej wierzył w prawdę zdania wygłoszonego przed chwilą, gdyby teraz mógł widzieć Zofiją klęczącą u stóp ukrzyżowanego Zbawiciela, z głową pochyloną ku ziemi ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, z wyrazem boleści i walki na bladej twarzy.

Jeżeli po wyjeździe Stanisława osamotnienie czuć się dało, to stokroć więcej zasmucili się państwo Steccy, gdy w tydzień potem pan Dorski przybył do Zagórza po Zosię, a zabawiwszy tylko dni kilka wyjechał uwożąc z sobą córkę.

Tymczasem Stanisław wyruszywszy z Zagórza, nie zatrzymując się prawie, jechał do domu matki pełen nadziei i trwogi, gdy powóz jego zatrzymał się przed dworem pani Steckiej.

— Jest pani w domu? zawołał wbiegając we drzwi.

— Pani przed dwoma dniami wyjechała w Podlaskie, była odpowiedź.

Stanisław skamieniał. Nic nie mówiąc udał się do swego pokoju, a zamknąwszy drzwi na klucz, padł na krzesło nie hamując już swej boleści.

Gdy w kilka godzin potem służący zastukał do drzwi, były jeszcze zamknięte; zaniepokojony przeszedł przez otwarte okno i ujrzał swego pana zemdlonego. Kiedy odzyskał władzę nad sobą, biedny Stanisław wpadł w wielką gorączkę i przez kilka dni pozostawał w tym stanie, pielęgnowany przez wezwanego lekarza. Już zaczął podnosić się z łóżka a nawet niekiedy przechadzać po pokoju, gdy pani Stecka powróciła ze swej wyprawy, tak zadowolona, że gdy weszła do sypialni syna, on spojrzawszy na nią odgadł wszystko, a uśmiechnąwszy się gorzko rzekł z ironiją w głosie:

— Udało ci się matko zdobyć złote runo, z którego dla mnie jarzmo ukujesz.

— Zdobyłam szczęście dla ciebie mój synu! odparła kobieta.

Lecz Stanisław mówił dalej jakby nie słysząc tych słów:

— Skrywana boleść, wyrobiła we mnie stoicyzm pełen pogardy wszystkiego co mnie dalej spotkać może; ale niech przynajmniej biedna Julija nie wie jaki jej los zgotowano.

— Ona szczęśliwa, ona cię kocha, wtrąciła matka a nie otrzymawszy odpowiedzi, ciągnęła dalej: Trzeba żebyś jak najprędzej udał się do państwa Steckich, podziękować że ci córkę dają. Będąc u nich w twojem imieniu, ułożyłam wszystko, nawet dzień ślubu oznaczony na koniec stycznia. Oni cię dość poznali, przez czas jaki tam spędziłeś, aby wierzyć iż nie zawiedziesz oczekiwania. Byłeś dla Julki tak uprzejmym, że nie wątpili iż przybyłeś do nich w celu starania się o jej rękę, to też teraz oczekują twego przybycia i podziękowania. Ja zaś idę do siebie a odpocząwszy napiszę do Jasia by mu tę dobrą wiadomość oznajmić.

To mówiąc wyszła z pokoju, zostawiając biednego młodzieńca pogrążonego w zamyśleniu nad swym smutnym losem.

Moja najdroższa Zosiu! pisała pani Janowa do siostry. Dziękuję ci za twój list, w którym mi tak szczegółowo donosisz wszystko co mnie zająć może; niewymownie się cieszę że nasz drogi ojciec zrobił ci tak miłą niespodziankę, zapraszając na czas dłuższy kochaną Jadwisię, która cię rozweseli, podzielając twą samotność. U nas nic się nie zmieniło, wszystko idzie dawnym trybem, i daj Boże by tak szło zawsze, cicho, spokojnie, szczęśliwie.

Mieliśmy w tych dniach list od matki Jasia, donosi nam że Stanisław żeni się ze swą kuzynką Juliją Stecką. Nie znając jej nic w tej mierze powiedzieć ci nie mogę, gdyż sama nie wiem co go do tak nagłego postanowienia zniewoliło. Jaś twierdzi, że

wpływ matki nie mało się przyczynił do tak nagłego dokonania tej sprawy, gdyż wyobrażamy sobie iż Staś nie jeszcze pewnego nie wiedział będąc u nas, albowiem byłby nieomieszkał nam o tem mówić. Przypuszczamy że jego nagły wyjazd, miał ścisły związek z tem wszystkiem.

Często wspominamy miłe chwile spędzone z tobą i Stanisławem; ach! czy one jeszcze się kiedy powtórzą? Oto pytanie jakie sobie zadajemy, zagłębiając myśl nieświadomą w nieprzeniknionej przyszłości.

Bywaj mi zdrowa najdroższa siostrzyczko.

Anna.

W kilka tygodni po wysłaniu tego listu, pani Janowa odebrała odpowiedź; tak przynajmniej sądziła spojrzawszy na pieczątkę listu, jaki jej z poczty przyniesiono, lecz nie mało się przeraziła poznawszy pismo Jadwigi, dawnej swej przyjaciółki, która obecnie w domu Dorskiego bawiła. Szybko rozdarłszy kopertę, przeczytała co następuje:

Coś ty takiego pisała do Zosi, droga Anulko? List twój sprawił na niej wrażenie nie do określenia. Wiesz jak ona umie ukrywać swe uczucie, a jednak tym razem rzuciła się na kolana i długo u stóp Bożej Matki, zatopioną była w modlitwie.

Nieśmiałam badać jej twarzy. Gdy wstała, oczy jej były od łez poczerwienione, lecz spokój rozlany na anielskiem obliczu, czynił ją tak piękną, że mimowolnie wlepiłam w nią pytające spojrzenie. Uśmiechnęła się i rzekła te słowa wielkiego poety:

„Wszystko w tem życiu naszem tak prędko się [kończy,
Miłość tylko ku Bogu z wiecznością się łączy.“

Nie pytałam więcej, ale przeczuwam, że Zofija coś stanowczego przedsięwzięła. Gdybym wiedziała co list twój zawierał, nie wahałabym się powiedzieć ci moje przypuszczenie, lecz dziś nie uczynię tego, gdyż nie wiem pod jakiem wrażeniem zostaje Zosia.

Jadwiga.

Tymczasem Zofija ciągle zachowywała milczenie, była poważną, co też niebawem zwróciło uwagę ojca.

— Co tobie jest moje drogie dziecko? rzekł raz gdy Zofija siedziała ze spuszczoną na piersi głową.

Byli sami w pokoju.

Młoda kobieta podniosła na ojca swe piękne oczy, a zbliżywszy się do niego szepnęła:

— Ojcze — już od kilku dni chciałam z tobą pomówić i wyznać ci wszystko co mi na sercu leży!

— O uczyń to lube dziecię, ja cię zrozumię i pocieszę!

— Ach drogi ojcze! nie pociechy szuka u ciebie twe dziecię, ale rady i przyzwolenia. Znasz mię, wiesz że nie jestem lekkomyślną, a zatem nie weźmiesz za dziecińoften wyznania jakie ci uczynię. Ojcze ja pragnę wstąpić do klasztoru. To rzekłszy wpatrzyła się w twarz jego.

Pan Dorski zbladł, lecz nie objawiając inaczej swego wzruszenia, rzekł cicho:

— Mów dalej dziecię.

— Myśl tę powzięłam — ciągnęła zwolna Zofija — od przyjścia niemal do rozumu, a ukrywszy ją w głębi serca, nie wyjawiałam nikomu. Kilka razy szał światowych uciech, przypruszył ją swym martwym popiołem, ale iskierka ta zawsze rozniecconą została uczuciem bratniej miłości, jaką we mnie wpoiłeś drogi ojcze.

W ostatnich czasach ledwo że ten słaby promyczek nie został całkiem ugaszony, pokusa była wielką nie potrafiłabym się jej oprzeć! Będąc teraz u Janów, miałam nieustannie przed oczyma obraz ziemskiego szczęścia i zapragnęłam go dla siebie. Wiesz drogi ojcze iż wszystko sprzyjało tej myśli, podczas mej bytności w Zagórzu. Teraz gdy inaczej się dzieje, widzę że przede mną jest wytknięta droga życia, mam tylko postępować nią prosto, a zaprowadzi mnie do wyższej krainy szczęścia wiecznego.

Pozwól mi teraz drogi ojcze iść za głosem, który mię woła na tę drogę, gdyż czuję że to głos powołania ozwał się w mej duszy. Pozwól a Bóg wynagrodzi ci za to stokrotnie.

Nastała chwila milczenia.

— Dziecię moje — rzekł wzruszony pan Dorski. Jeżeli Bóg tego pragnie ja tylko powiedzieć mogę: niech się stanie! Lecz jako ojciec, kładę jeden warunek, byś choć pół roku pozostała jeszcze przy mnie, i myślała nad czynem jaki chcesz dokonać. Potem czyń jak pragniesz.

I oczy ojca napełniły się łzami, które spłynąwszy po licu, spadły na krucze sploty klęczącej u nóg jego dziewicy.

Mijały dnie, tygodnie, miesiące. Rok nowy zabłysł jak jutrzenka złota, witany od wszystkich, lecz od każdego inaczej.

Od chwili jak zostawiliśmy Stanisława zatopionego w myślach o smutnej przyszłości, nic się nie zmieniło, tak w jego położeniu materyalnem, jako i moralnem usposobieniu. Opanowała go tylko apatya, której on nawet nie usiłował zwalczyć.

Pani Stecka robiła olbrzymie przygotowania na przyjęcie synowej, a gdy nadszedł czas udania się do Dąbrowy, na obrzęd weselny, wsiadła do pięknej karety, wyprawiwszy poprzednio Stanisława.

Młody człowiek siedząc w powozie, wsparty o miękkie poduszki, z zamkniętemi oczyma, przypominał sobie jak temu pół roku jechał pełen nadziei w inną stronę kraju, do Zagórza. Przypomniał sobie piękny krajobraz, jaki roztaczał się przed jego zachwyconemi oczyma, ujrzał w myśli Zofiję; przetarł ręką oczy, jak dla odsunięcia tego wspomnienia i otworzył oczy. Lecz jak odmienny widok przedstawił mu się teraz.

Śnieg wielkiemi płatami padał na rozmiękłą ziemię i pokrywał wilgotnym całunem drzewa szumiące głuchym jękiem. Po pustem polu ścigały się zeschłe liście, a ołowiane niebo pokryte szaremi chmurami, zdawało się smucić i płakać.

Powóz toczył się wolno, stukając o leżące na drodze kamienie. Zapadająca noc zastała podróżnych wśród pustego pola.

— Panie—odezwał się woźnica—już ciemno a ja nie znam drogi!

Młody człowiek wychylił głowę i spojrzał w około chcąc przeniknąć wzrokiem ciemności. Patrzał długo daremnie, wreszcie zdało mu się że w oddaleniu błysnęło blade światełko.

— Jedź tam! zawołał wskazując w stronę migocącego płomyka.

Woźnica zaciął konie.

— Jak uważać ten promyk nadziei? pomyślał Stanisław — czy on przepowiednią lepszej przyszłości, czy też błędnym ognikiem złudzeń?

Długo błąkali się po polu, lecz światełko stawało się coraz wyraźniejsze. W końcu dostrzegli oświetlone okienko małej chatki samotnie w polu stojącej.

Zatrzymano się; Stanisław wyskoczył z powozu i wbiegł do sieni. Namacawszy drzwi, zastukał lekko; nikt mu nie odpowiedział. Młody człowiek pociągnął za drewnianą klamkę, lecz jakiż widok przedstawił się oczom jego. Na środku pustej izby, stała długa ławka, a na niej w ubogiej białej sukience leżała umarła dziewica. Nad głową jej stał krzyż i lampka blade rzucająca spojrzenie, a w kącie pod piecem, drzemała skulona staruszka, licho odziana.

Stanisław zadrżał, oczy jego padły na bladą twarz umarłej, wszelkie władze opuszczać go zaczęły, w głowie mu się kręciło, serce słabe tylko wybijało tętno. Tak stał przez chwilę. Lampka trzeszcząc rzuciła kilka żywszych promieni i zgasła. Stanisław oprzytomniał, wybiegł z chaty a wsiadłszy do powozu zawołał:

— Jedź!

W godzinę przybyli do karczmy, w której można było znaleść schronienie. Młody człowiek noc całą przepędził na smutnem rozmyślaniu, a gdy brzask dzienny oświetlił okienko izdebki w jakiej się znajdował, westchnął.

— Jedźmy dalej. Zazdrościcie mi wszyscy, jadę na wesele, z grobowym smutkiem w sercu, ze śmiercią w duszy, i z obrazem umarłej w oczach! Szczęście dla mnie zdobyto, świetną przyszłość mam przepowiedzianą; ha! zazdrośćcie — jestem bogaty, mam pieniądze, na niczem zbywać mi nie będzie w życiu! i rozśmiał się gorzko.

Dwa dni upłynęły od wyżej opisanego wypadku, nim Stanisław dobił do celu swej podróży.

Przybywszy do Dąbrowy zastał wszystkich nader niespokojnych i w wcale nie wesołem usposobieniu.

Na powitanie wyszła najpierw pani Stecka, za nią wybiegli rodzice Julji, a w końcu wolnym krokiem postępowała blada narzeczona. Młody człowiek spojrzał na nią, a w oczach jego malował się wyraz głębokiej litości.

Nastała chwila milczenia, po której oboje spuścili oczy łez pełne. Julija patrząc na Stanisława, wyczytała z jego bladej twarzy, z oczów błyszczących gorączką, część smutku w jakim był pogrążony. On widząc jej wzrok zamdlony i blade zaciśnięte usta, poznał iż podziela boleść jego — i już w myśli usnuł zamiar, wyznania jej całej prawdy.

Lecz Stanisław nie ufał sobie nigdy, a przypuszczenie że bladość Julji ze wzruszenia pochodzi, lub też jemu tylko smutną się wydaje, odwiodła go od uskutecznienia wyznania.

W wiliją dnia ślubu, wiele osób zjechało się by uczcić dzień tak uroczysty. W wieczór obie matki odprowadziły Juliją do jej pokoju, lecz jakież było ich przerażenie, gdy biedne dziewczę, które dzień cały hamować się musiało, teraz wybuchło głośnym płaczem:

— Zanadto jesteś wzruszoną Julciu — rzekła jej matka.

Dziewczę wciąż łkało.

— Mamo — jęknęła Julija — czy ja koniecznie muszę wyjść za Stanisława?

— Moje dziecko, zawołała przerażona matka — czy jest możność wyboru w tak stanowczej chwili.

Julija ukryła głowę w poduszkach sofy.

Licznie zgromadzone towarzystwo zebrało się w pięknej bawialni. Pani Stecka z uroczystym wyrazem twarzy siedziała we wspaniałem krześle, oczekując z udzieleniem swego błogosławieństwa, posłusznym a nieszczęśliwym ofiarom próżności i nierozsądku. W głębokiej framudze okna, po za ciężką kotarą, stał z czołem wspartem o zamarzniętą szybę—Stanisław.

Przechodził on w myśli zdarzenia zaszłe od roku, niby chmury ciągnące po nad jego głową.

Przypomniał sobie jasny promień słońca świecący dlań krótko lecz rozkosznie i myśl jego pogoniła za nim. A przed oczyma młodzieńczej wyobraźni, stanęła Zofija, spokojna i piękna jak niebieskie zjawisko. Słyszał jej głos metaliczny, dźwięcznie dochodzący do uszów jego, w kształcie piosenki lub wzniosłych wyrazów. Pod wpływem wspomnień, zapomniał o wszystkiem co go otaczało.

W tem głośne otwarcie się drzwi zwróciło uwagę

Stanisława. Przetarł oczy i spojrzał w stronę, gdzie wsparta na ramieniu matki, stała Julija ze spuszczoną głową.

— Biedne dziecię — pomyślał, klękając by otrzymać błogosławieństwo.

Powstawszy udano się do pałacowej kaplicy i tam połączone zostały na resztę dni życia dwie istoty nie mające z sobą nic wspólnego; myśli, serca uczucia każdego z nich, były gdzieindziej.

Obsypano nowożeńców życzeniami, Julija zniosła je mężnie, Stanisław spokojnie.

— Bywaj mi zdrowa, Julko moja! wołała pani Stecka za odjeżdżającą karetą, w której państwo Stanisławowie opuszczali Dąbrowę.

Młoda kobieta wychyliła się przez okno i smutnym uśmiechem przesłała ostatnie pożegnanie rodzinnemu miejscu.

Długi czas jechali w milczeniu, Julija pogrążona w tęsknocie, Stanisław nie miał co mówić, myślą był gdzieindziej. Podróż odbywała się powoli i nużąco, śnieg pruszył ciągle, wiatr przenikliwy świstał nad głowami.

— Dojeżdżamy już do domu! ozwał się wreszcie Stanisław patrząc w okno karety; lecz nie otrzymawszy odpowiedzi odwrócił głowę.

W głębi siedzenia ujrzał żonę pochyloną nieruchomie.

— Zemdlała! zawołał ze współczuciem i przerażeniem w głosie.

Stanęli. Biedną kobietę wyniesiono z powozu, a położywszy na łóżku, posłano po lekarza. Wkrótce przybył pocieszyciel cierpiącej ludzkości, a odsunąwszy wszystkich sam zasiadł przy niej. Dzień za dniem mijał, choroba nie zmniejszała się, silna gorączka wciąż trwała.

— Łatwiej jest leczyć choroby ciała—łaskawa pani—mówił doktór do pytającej go pani Steckiej, ale choroby ducha, cierpienia moralne, gdy na stan fizyczny wpływać zaczną, to trudne zadanie.

Matka Stanisława uczuła pierwszy wyrzut sumienia, który niebawem powrócił, gdy po wyjściu z pokoju chorej, spotkała syna przechadzającego się mierzonym krokiem po wspaniałych salonach, gdzie wszystko lśniło się od złoceń. Młody człowiek podobniejszy był do widma, niż do żyjącego człowieka.

A obok niego, stanęła przed jej oczyma, drobna postać kobieca, bez przytomności leżąca, z rozpaloną twarzą i na wpół otwartemi usty, z których dobywały się słowa bez związku.

— To twoje dzieło, szepnął jej głos sumienia — dokazałaś swego, syn twój bogaty!

W tydzień potem lekarz oświadczył, że z silnego zaziębienia połączonego z zarodem dawnej choroby, wywiązał się stan grożący suchotami.

W Zagórzu, w tem cichem ustroniu nic się nie zmieniło; wiadomość o postanowieniu Zofji, przyjęto tu bez zadziwienia, gdyż państwo Janowie zawsze uważali siostrę za istotę nieziemską, powołaną ku lepszemu światu.

Minął czas próby przeznaczonej córce przez pana Dorskiego. Z cichym żalem w sercu, udawał się smutny choć szczęśliwy ojciec do Zagórza, wioząc tam Zofiją na ostatnie pożegnanie. Ze łzą w oku przyjęto ich w białym dworku, gdzie zabawiwszy dni kilka, ruszyli w dalszą drogę do Warszawy.

Rok upłynął i nadszedł czas, w którym Zofija związana ślubem, miała pozostać na zawsze w murach klasztornych. Na ten uroczysty obrządek przybyli do Warszawy państwo Janowie i pan Dorski.

W oświetlonej świątyni, z anielskim spokojem rozlanym na bladem obliczu, klęczała Zofija w białym stroju, nieruchoma jak posąg z alabastru.

Cichym lecz stanowczym głosem wymówiła słowa przysięgi, a wstawszy z przed ołtarza, zdawała się być już tylko ciałem na ziemi; myślą, sercem i duchem wzniosła się ku wyższej krainie i spoczęła u podnóża Tronu Najwyższego.

Wolnym krokiem odprowadziła Zofija rodzinę do drzwi, a pożegnawszy ich, cofnęła się i ciężka furta klasztoru zapadła za nią z głuchym jakby podziemnym łoskotem.

Nazajutrz w wieczór powóz państwa Janów, stanął u drzwi domu pani Steckiej.

— Cóż tu u was słychać? zapytał Jan służącego, który wybiegł na ich spotkanie.

— Ha! źle paniczu — odparł stary sługa — Bóg zabrał ze świata młodą panią.

Anna zakryła twarz rękoma.

— Kiedy? zawołał Jan.

— Wczoraj, o szóstej wieczór.

— Ah! jęknęła kobieta — o tejże samej porze Zofija przestała żyć dla świata.

W tej chwili z przyległego pokoju wyszła pani Stecka. Pożółkłe jej oblicze, wychudłe ręce świadczyły, ile przenieść musiała.

Zbliżywszy się do Jana, ujęła go za rękę, i nic nie mówiąc prowadziła przez wspaniałe salony. Anna postępowała za nimi. Nagle przewodniczka zatrzymała się a wskazawszy im palcem drzwi, wyszła.

W przyległym pokoju, na wywyższeniu w białych szatach, leżało martwe ciało Julji, z wychudłem obliczem i głęboko zapadniętemi oczyma; u nóg jej klęczał Stanisław, z twarzą ukrytą w dłonie.

Smutny ten obraz przejął patrzących do głębi duszy, stali przez chwilę nieporuszeni, wreszcie Anna szepnęła cicho mężowi:

— Starajmy się go pocieszyć; a mówiąc to zbliżyła się do klęczącego i dotknęła lekko jego ramienia. Stanisław podniósł głowę a ujrzawszy Annę rozpłakał się gwałtownie. Wspomnienie chwil szczęśliwszych stanęło mu przed oczyma wyobraźni, i wycisnęło łzy, które mu ulgę przyniosły. Nachylił się ku bratowej i zapytał pół głosem:

— Gdzie Zofija?

— W klasztorze zakonnicą! brzmiała odpowiedź.

Stanisław zbladł, zachwiał się i padł zemdlony. Cios był niespodziany, nie wiedział on bowiem o wstąpieniu Zofji do klasztoru, gdyż nikt mu o tem nie mówił a on pytać nie śmiał. Kto wie — może klęcząc u nóg umarłej żony, przepraszał ją właśnie iż płakać jej nie może.

Przyszedłszy do siebie, uścisnął rękę Anny, która mu wodą skrapiała czoło a wskazawszy zmarłą rzekł:

— Patrz — oto ofiara słabości charakteru!

— Wyjeżdżam matko na czas nieograniczony, mówił we dwa miesiące potem Stanisław, stojąc przed panią Stecką, siedzącą w swem wielkiem krześle. Milcząc przyciągnęła syna do siebie, uścisnęła go i odwróciła głowę nie rzekłszy słowa. Młody człowiek zimnemi usty dotknął jej ręki i wyszedł a rzuciwszy się w powóz, spojrzał raz jeszcze na dom rodzinny, w którym tyle przecierpiał. Nie zatrzymując się w Warszawie, wsiadł na odchodzący pociąg do Częstochowy. Z pochyloną głową, przeszedł progi Jasnogórskiej świątyni, a ukląknąwszy przed ołtarzem Boga Rodzicy, przelał swą stroskaną duszę w słowa gorącej modlitwy.

Skończywszy podniósł oczy i spojrzał w głąb kościoła. W ciemnym zakątku kaplicy, ze złożonemi na piersiach rękami, z oczyma utkwionemi w cudowny obraz, klęczała kobieta, zakonnica. Stanisław zadrżał. W tej chwili, ostatnie promienie zachodzącego słońca, wdarłszy się przez okna, padły na ciemną szatę klęczącej, oświetlając jej anielskie oblicze swym różowym blaskiem.

— To ona — pomyślał Stanisław poznając Zofiją. I spojrzenie jego zatrzymało się długo na jej kształtnej postaci. Lecz kobieta nie spuściła oczów; zamodlona nie pamiętała o ziemi, była teraz myślą wyżej, po za światem w niebie. A na jej twarzy odbijał się wyraz niebiańskiej rozkoszy.

— Ona szczęśliwa! pomyślał Stanisław — o tak, i nie przestanie być szczęśliwą, bo swą nadzieję położyła w Tym, który nie zawodzi. Modli się może za niegodne i słabe istoty!

I patrzył wciąż w tę stronę, chcąc utrwalić jej obraz w swej pamięci.

Zofija podniosła się a postępując ku drzwiom świątyni, przeszła tuż obok niego.

— Czy mnie widziała? pomyślał, śledząc ją jeszcze spojrzeniem.

I w istocie, Stanisław nie mylił się, była to Zofija, która opuściła Warszawę, wezwana przez zgromadzenie do Paryża, gdzie ją czekało życie pracy i poświęcenia. Lecz ona nie lękała się; będąc na wszystko przygotowaną, z poddaniem opuszczała ziemię rodzinną, chciała tylko raz jeszcze na tem świętem miejscu uczcić Matkę Boga i polecić jej opiece swoją rodzinę. Co uczyniwszy puściła się w dalszą drogę.

Trzy lata upłynęły.

Majową zielenią pokryły się drzewa i pola. W Zagórzu wszystko oddychało wiosenną swobodą. Winna latorośl bujnie zagaiła ściany białego dworku.

W piękny i ciepły wieczór, na małej ławeczce w ogrodzie, siedzieli państwo Janowie rozkoszując się powrotem wiosny. U nóg ich igrały dwie małe istotki, któremi Bóg powiększył rodzinę. Piękny trzechletni chłopczyna zabawiał swą młodszą siostrzyczkę, jakby już rozumiał, że będąc mężczyzną, powinien ustępować pierwszeństwo słabej kobiecie.

A Stanisław? On w tejże chwili zmęczony podróżą, znużony życiem bezczynnem, siedząc w wagonie pierwszej klasy wjeżdżał do Paryża.

Pociąg się zatrzymał, młody człowiek wolnym krokiem przeszedł dworzec kolei, i zapuścił się w dobrze znane miasto. Szedł długo nie zwracając nawet uwagi na potrącających go przechodniów, nic go nie nagliło, czasu miał aż za wiele, nie wiedział co z nim czynić. Nagle ponury głos dzwonu zwrócił jego uwagę. Podniósł głowę i u drzwi świątyni pańskiej ujrzał cisnący się tłum ludzi. Widok strojnie przybranych osób, dążących do jednego celu obudził jego ciekawość. Wmieszał się w tłum i wszedł do kościoła. W środku napełnionej świątyni, stał skromny czarno pokryty katafalk a na nim prosta drewniana trumna, kilka zakonnic klęczało dokoła, szepcząc ciche modlitwy.

— Czyj to pogrzeb? zapytał Stanisław obok stojącego człowieka.

— Pan nie wie? odparł z zadziwieniem zagadnięty, to siostry miłosierdzia, dobrodziejki biednych i opuszczonych, opiekunki nieszczęśliwych grzeszników i sierot. Ona się zapracowała, zamęczyła. To anioł panie, anioł którego Bóg do siebie powołał!

— Czy nie wiecie jak się nazywała? zapytał żywo Stanisław.

— O nie wiem panie. Dla nas była zawsze siostrą Zofiją, słyszałem tylko że z Królestwa Polskiego przyjechała.

Stanisław zadrżał, wsparł głowę o marmurową kolumnę i stał długo zatopiony w myślach. Tuż koło niego przesunęła się jedna z zakonnic, młody człowiek skłonił się i zapytał o nazwisko nieboszczki.

— Zofija Dorska — odparła kobieta.

Pod wpływem tych słów, całe jestestwo Stanisława doznało gwałtownego wstrząśnienia. Znikła apatya i po raz pierwszy w życiu, w duszy jego odezwała się męzka siła woli.

— Zapracowała się, zamęczyła, i uplotła wienie

zasługi, którym teraz Stwórca, wieńczy jej głowę. A ja cóż uczyniłem od czasu rozstania się z nią?

— Nic, odparł głos sumienia.

— Zabrakło ludzkości istoty żyjącej dla niej; trzeba ją zastąpić, myślał. Dalej do pracy, do czynu z odwagą, siłą i wiarą!

Orszak wyszedł z kościoła. Młody człowiek postępował wśród tłumu, a o uszy jego obijały się słowa błogosławieństwa, jakie posyłano za niewinnym duchem zmarłej, zdającym może w tej chwili Stwórcy, rachunek z życia, czystego jak łza sieroty, zwilżająca świeżą mogiłę.

Już wszyscy opuścili cmentarz a Stanisław klęczał jeszcze długo i modlił się, a łza żalu skruchy i postanowienia zawisła na długich jego rzęsach.

Wstał i szybkim krokiem przeszedł ulice miasta, pilno mu było do pracy, do innego życia. I znów usiadł na odchodzący pociąg, a w tydzień po tem oddychał swobodzie w objęciach ukochanego brata, który męzką dłonią przyciskał do szlachetnego serca zbłąkaną a powracającą owieczkę.

— Naucz mnie żyć, bracie, mówił Stanisław patrząc na wchodzącą Anusię ze swemi dwoma aniołkami.

— Nie będę ci wykładał teoryi życia, mój drogi, sam ją sobie z praktyki wywiedziesz, rzekł Jan.

Dwie małe istotki uśmiechnęły się do stryja, on je czule uścisnął.

— Daliśmy im imiona drogich naszem sercom osób, mówiła Anna, Staś i Zosia, dodała, ocierając łzę wyciśniętą wspomnieniem siostry.

Dzień ten połączył rodzinę węzłem nierozwiązanym. Stanisław sprzedawszy dobra po matce, osiadł we wsi graniczącej z Zagórzem i stał się godnym brata. Powszechnie szanowany, starał się być użytecznym potrzebującym. Wspomagał biednych, otaczał dobrodziejstwy nieszczęśliwych, a przy tem oddał się ciągłej i niezmordowanej pracy. Szczęście brata, było jego szczęściem, nic nie pragnął dla siebie, wszystko dla drugich.

Pan Dorski osiadł w Zagórzu i długie jeszcze lata patrzył na swe ukochane wnuczęta.

— Dobrze chowacie dzieci, drodzy moi, mówił Stanisław do Jana i Anny -- Zosia jest bardzo podobną do tej której imię nosi, a Staś dziś już zawstydza starego stryja siłą charakteru!

— Dziękujemy ci, odpowiadali szczęśliwi rodzice, pragniemy ich tak wychować, aby wyrosły na pożytek ludzkości. Da Bóg że dokonamy tego za Jego pomocą.

Czy się im to udało? Czytelnik domyśli się łatwo, znając Jana i Annę, i pomnąc na mądrość narodów, która mówi, że jabłko niedaleko pada od jabłoni.

Z DZIEDZINY NAUKOWEJ.

O rosole.

„Rosół jest to zbytek, który tylko zamożnym dozwolony."
Wirchow.

Mamy przed sobą człowieka, po ciężkiej niemocy wielce wycieńczonego. Trzeba mu stracone siły powrócić. On sam i otaczający zwracają się do lekarza z zapytaniem: co mu dać. „Rosołku łyżek kilka i trochę wina ale dobrego," jest zwykła odpowiedź. Otóż i wkrótce smaczny rosołek ugotowany i po każdej łyżce którą wypija chory, czuje się rzeźwiejszym, siły weń wstępują i apetyt się powiększa. Więc rosół jest bardzo pożywnym pokarmem? Tak wielu bardzo sądzi i zdziwią się zapewne Czytelniczki gdy powiem: „rosół wcale a wcale nie jest pożywnym". Jedne z Szanownych Czytelniczek pomyślą sobie zapewne: ot baje, co innego teorya, co innego praktyka, boć jeżeli się czuję mocniejszą na siłach, zjadłszy talerz rosołu, to i rosół pożywny. Inne, z większem zaufaniem czytające słowa piszącego w imieniu nauki rzekną: wszystko to być może, ale mimo tego rosół wzmacnia i sami lekarze go zalecają.

Wzmacnia bez wątpienia, ale nie jest pożywnym. Porozumiejmy się. Co rozumiemy pod wyrazem *pożywny?* Wszystkie pokarmy nasze składają się z pewnych substancyj, których liczba jest ograniczona. Jakikolwiek pokarm weźmiemy, da się on przez chemika rozebrać na te pierwotne substancye, które też nazywamy substancyami pokarmowemi. Ostatnie są: ciała białkowate, tłuszcze, wodany węgla (cukry) i sole mineralne. Weźmy kilka przykładów. Mięso, jajko, mleko, ser, strączkowe owoce zawierają przeważnie substancye białkowate, lubo w nich i inne się znajdują. Jakoż w mięsie i żółtku znajdujemy tłuszcze i sole mineralne. Ale takie pokarmy jak masło, oliwa, tran, tłuste szwajcarskie i limburskie sery przeważnie się składają z tłuszczu. Substancye pokarmowe któreśmy nazwali wodanami węgla czyli cukrami, znajdujemy w cukrze i kartoflach, nasionach, zbożu, owocach strączkowych. Wodany węgla w kartoflach, zbożu, owocach się znajdujące nazywamy właściwie krochmalem, ale ten w organizmie naszym zmienia się w cukier. Co do soli mineralnych, to te znajdują się całemi masami, jak wiadomo w królestwie mineralnem, ale w królestwie roślinnem i zwierzęcem także je znajdujemy. Jakoż sodę, sole potażowe, wapnia, magnezyowe, fosforu, żelaza, znajdujemy w rozmaitych ilościach w mięsie, jajku, serze i t. d.

Otóż ta krótka wzmianka o substancyach pokarmowych, była nam niezbędną, byśmy mogli w dalszej pogawędce z sobą się porozumieć. Od królestwa mineralnego, roślinnego i zwierzęcego przechodzę do pana tych królestw, do człowieka. Oddajmy i pana tego w ręce chemika, niech zbada z jakich się substancyj składa, a dowiemy się że człowiek składa się z tych samych substancyj pokarmowych o których wyżej wspomnieliśmy, a najważniejszą rolę odgrywają ciała białkowate, i one się znajdują przeważnie w krwi naszej, w mięsie i organach wewnętrznych, one najwięcej się zużywają, gdy pracujemy. Dla tego najważniejszą, przy odżywianiu się naszem, substancyą pokarmową jest substancya białkowata i dla tego mięso, mleko i jajka są najważniejszemi pokarmami.

Tłuszczu również wiele w naszym organizmie, tłuszcz ten także się zużywa, więc i tłuszczu musimy dostarczyć naszemu ustrojowi. Soli mineralnych niewiele wprawdzie w organizmie naszym, przeważnie w kościach, więc i te są nam potrzebne. Ale tych wszystkich substancyj powinniśmy w takiej ilości pobierać, w jakiej je tracimy. Najwięcej zatem brać trzeba substancyi białkowatych, mniej tłuszczu i cukru, a najmniej soli mineralnych. *Taki pokarm, który zawiera ciała białkowate w znacznej ilości, który zawiera tłuszcze, cukry i nieznaczną ilość soli mineralnych, taki pokarm nazywamy pożywnym* i takim jest np. mięso, mleko, jajka, ser i t. p.

Zadajemy teraz po raz drugi pytanie, czy rosół jest pożywny w powyższem rozumieniu rzeczy? odpowiadamy znowu, nie. Dowiedzmy się u pani Ćwierciakiewiczowej jak się robi rosół. Jeżeli mięso jest czyste, nie płucząc go nalać świeżą wodą, w każdym razie lepiej miękką rzeczną jak twardą, byle nie deszczową i gotować na bardzo wolnym ogniu ciągle szumując szumownicą. Gdy po godzinie blisko takiego gotowania przestaną się pokazywać szumowiny, natenczas odstawić rosół od ognia, zalać łyżką zimnej wody, a tłustość zwana pozłotą oddzieli się natychmiast i pokaże na wierzchu, fusy zaś opadną na spód. Wtedy trzeba ową tłustość starannie zebrać gdyż jest niestrawną, rosół przez gęste sitko przecedzić, mięso wypłukać w świeżej wodzie, garnek wymyć i włożywszy na powrót mięso, zalać je przecedzonym rosołem i wstawić na ogień. Gdy się zagotuje posolić, włożyć włoszczyzny rozmaitej jako to: pietruszki w korzonkach, selerów pokrajanych w ćwiartki, porów, marchwi, bulwy a nawet jedną cebulę w całości z łupiną pierwej pod blachą upieczoną, jeden lub dwa suszone grzybki i nieco kwiatu muszkatołowego. Kalafiory i kapusta włoska dodają bardzo dobrego smaku, należy je sparzyć i włożyć na godzinę przed wydaniem na stół. Po odebraniu rosół powinien się jeszcze gotować 3 i pół do 4-ch godzin, nigdy więcej, zawsze na wolnym ogniu; jeżeli gatunek mięsa jest miękki 3 $^1/_2$ godziny wystarczają. Przed wydaniem na stół odstawić rosół na moment od ognia żeby się sklarował, zebrać resztę pozłoty jaka się okaże i przecedzić w wazę, w której się pierwej kładą przygotowane do rosołu dodatki i nieco drobno usiekanej zielonej pietruszki.

Weźmy gotowy już rosół i dajmy go do rozbioru chemikowi, żeby nam powiedział, co się tam w nim znajduje. Otóż z substancyj prawdziwie pożywnych bo z mięsa zaledwie 1% części białkowatych do rosołu przechodzi, substancyi stanowiących o pożywności naszej strawy nic w nim prawie nie znajdzie. Substancye bowiem białkowate nierozpuszczają się wcale w wodzie i ten jeden fakt że rosół nie zawiera ich w sobie tak go kompromituje, że jest dostatecznym aby go strącił z piedestału, na którym stanął zupełnie niezasłużenie.

Kiedy zatem substancyi białkowatych nie ma w rosole, cóż się więc w nim znajduje? Wracajmy do mięsa. W ostatniem jest dużo tłuszczu, ale ten stanowi ujemną jego stronę, pozłotę, której się ile możności pozbywają gospodynie. Cóż więc nadaje mu smak, co główną jego istotę składową stanowi?

Mięso jak wiadomo składa się z podłużnych włókien, których pęczki grube w wołowem mięsie, a bardzo cieniuchne w mięsie kurcząt, po wygotowaniu mocnem, gołem okiem widzieć można. Otóż te włókna są z sobą zlepione w surowem mięsie klejem, który jako rozpuszczalny w ciepłej wodzie, z mięsa do rosołu przechodzi i główną składową część stanowi rosołu. Mamy więc dotychczas w rosole: wodę, tłuszcz i klej. Co to jest klej?

Klej jest substancyą powstałą z substancyj białkowatych, ale znakomicie pod wszystkiemi względami od nich się różniącą, bo gdy białko jest typem substancyi pożywnej, klej wcale przymiotu tego nie posiada. Na to poznanie natury kleju wieki się złożyć musiały. Podczas rewolucyi francuzkiej chciano zgłodniałym rzeszom dostarczyć taniej a pożywnej strawy i wzięto się do kleju znanego już od XVII wieku, bo Papin odkrył go w kościach 1682. Przygotowano więc dla ludu masami klej z kości; ale pomiędzy karmionymi w ten sposób rozwinęła się straszliwa biegunka; powstali zatem przeciwnicy kleju i obrońcy, aż wreszcie akademija francuzka r. 1841 zawyrokowała, że klej nie jest pożywny, gdyż nawet psy, żywione smacznemi galaretami z różnych mięsiw, zdychały w krótkim czasie. Najwybitniejszym dowodem że klej nie jest potrzebny do odżywiania ustroju, jest nieobecność jego w mleku matki; wtedy właśnie gdy organizm niemowlęcia najżywiej wzrasta, gdy ogromnie z dnia na dzień przybiera na wadze i gdy wszystkie organa jego się budują, kształcą i rozwijają. Klej więc stanowczo nie jest substancyą pożywną. Jednakowoż klej ma dwie własności, które go czynią w pewnym stopniu pożywnym. Najprzód, jest bardzo strawny, a zatem nie obciąża żo-

łądka ni kiszek. Dla rekonwalescentów, którym coś dać trzeba, coś lekkiego, strawnego, klej jest bardzo zbawienny. Przewód pokarmowy osłabiony długą chorobą, jest niezdolny jeszcze do trawienia mięsa, jaj, mleka, wprawia go się więc w ruch, dając mu taką lekką strawę. Klej oprócz powyższej własności, przynosi jeszcze pożytek swoją obecnością w przewodzie pokarmowym, gdyż przylegając do ścian takowego łagodzi je, ochraniając od działania gazów i innych substancyj w nim się znajdujących.

Jak widzimy z tego, rozjaśnia się nieco horyzont naszej niezgody. Zdawało się, że odmawiając pożywności rosołowi zechcę zaproponować bannicyą jego z kuchen naszych; zdawało że dla dobra organizmu każę rozstać się ze smacznym, wonnym i orzeźwiającym rosołkiem. Bynajmniej. Użyłem wyrazu „orzeźwiający.“ Więc orzeźwia rosół. Tak jest. Mówiliśmy już o niektórych częściach składowych rosołu i ich znaczeniu, o substancyach białkowatych, tłuszczu i kleju, zobaczmy co jeszcze jest w rosole, a wprzódy w mięsie. *(d. n).*

Kilka uwag o powieściach
ELIZY ORZESZKOWEJ

przez

Ewelinę Burzyńską.

(Dokończenie).

Dawnemi czasy kobieta polska nie traciła godzin całych na opiłowywaniu różowych paznokci ale pracowała. Pani domu stała na czele licznego zastępu starych i młodych kobiet pracujących także; każden dom zamożny był miejscem przytułku dla tych, które swego życia mieć nie mogły. Potem skutkiem okoliczności gdy zwykłą koleją na świecie wszystko się zmieniać musi, zmieniły się i stosunki pozycyi pań i rezydentek. Panie goniące tylko za zabawą i błyskotkami zapomniały o pracy; rezydentki stały się nieznośnemi próżniaczkami, plotkarkami i niewdzięcznemi. Z głęboką znajomością serca ludzkiego oddana jest matka Wacławy. Z bogatego i arystokratycznego domu równie nieoględna jak lekkomyślna, do ostatniej chwili łudzi się a po upadku majątku nie ma dość siły by ruinę znieść spokojnie. Czuje że tracąc majątek zstąpiła niżej i tem drażni się i cierpi.

I nic dziwnego że w społeczeństwie w którem wyrodzić się może Ewa salonów, gdzie pani Leontyna Orchoska po płochej młodości dochodzi do niemal obłąkanego nabożeństwa; gdzie biedne Lile i Zosie koniecznie upadają, bo o nic oprzeć się nie mają; gdzie szlachetny a namiętny charakter Rozalji spaczyć się musi; w którem bez serca kobieta jak babka Hortensya może swe prawa narzucać, — w społeczeństwie gdzie małe drobnostki tworzą ów łańcuch długi, twardy, nędznych kowenansów, kobieta co życie całe w poszanowaniu ich przeżyła nie widząc, nie myśląc jak są nikczemne, poziome, zmuszona biedą zerwać go cierpi, gryzącem cierpieniem próżności. Takiem jest uczucie, które żółcią zalewa serce matki Wacławy; krzepionej spokojem i energiją córki; ale o ileż stokroć straszniejszem jest cierpienie biednej Marty. To nie wybuch złego humoru pobudzonego widokiem błyszczącego kocza, to krzyk głodu o kawałek chleba, to wołanie o sprawiedliwość, o miejsce na tym świecie, o możność pracy, o naukę, o wiedzę, to żądanie tego, co się należy każdej istocie ludzkiej, chleba dla duszy i ciała. Okoliczności zmuszają nieraz kobietę samej zarabiać na kawałek chleba, a w społeczeństwie naszem pola do pracy dla niej nie ma; wychowanie które odbiera jest niedostatecznem; tak zwana wykształcona kobieta w gruncie rzeczy mało co umie, bo nie umie zapracować na kawałek chleba, a co gorsza przyjąć go w razie niedoli prosto od piekarza a nie z ręki wyfrakowanego lokaja. Straszny dramat Marty powtarza się co dzień a jeśli nie kończy się tragiczną jej śmiercią, to często upadkiem, to nędzą, to torturą w której nie każda umie wytrzymać. Zapisano foljały papieru o emancypacyi kobiet; z dzieł traktujących o tem możnaby utworzyć biblijotekę wcale wspaniałą a jednak mimo tego kobieta, która sama o własnych siłach pragnie wyrobić sobie stanowisko chlebodajne choćby najskromniejsze, musi i z trudnością podobnego nabytku i z rozmyślnie niemal stawianemi przeszkodami walczyć zażarcie z podwójną energiją, musi wyłamywać się z pod wszystkich pęt nałożonych na nią w imię niby moralności i poszanowania rodzinnego ogniska, musi podnieść głowę i śmiało pomimo oszczerstwa i wyszydzań iść odważnie z głębokiem przekonaniem, że sięgając po prawa ludzkie które się jej słusznie należą, nie zrywa żadnych związków rodzinnych ale je zacieśnia.

Od wieków świat dzieli się na postępowych i konserwatystów i ci ostatni chcąc wszystko zakonserwować w steoretypowych formach, całemi siłami starają się ruch każdy zatrzymać, jakby nie wiedzieli, że żadna siła nie jest w stanie oprzeć się postępowi który jest życiem ludzkości, że ludzie od pierwszej chwili poczucia się w swem jestestwie ulegają niemal fatalnie temu prawu, tej gwałtownej nieprzepartej żądzy doskonalenia się. Zamarli w przesądach nie zdając sobie sprawy z nielogiczności swych pragnień, przerażają się każdym objawem, każdą zmianą w uznanych za dobre i przyjętych formach, nie chcąc widzieć że zmiana ta jest konieczną w dzisiejszym ustroju społecznym, bo każdy dzień ma inne potrzeby, każdy wiek nową ideę. Kobieta pragnąca nauki, probująca o własnych siłach żyć i nie być społecznym gratem utrzymywanym z litości czy krewieństwa lub miłosierdzia, stała się w oczach tych szczególniejszych przestrzegaczy moralności jakimś widmem strasznem, które karmiąc się własną pracą a nie wyciągając rękę po gotowe kęsy, świat cały wstrząśnie, rozpłomieni i na proch starty w nicości zaprzepaści.

Nie ma wątpliwości, że emancypacya, ów postrach dusz zastygłych, źle rozumiana i wykonana prowadzi prosto do rozprzężenia społecznych węzłów, ale emancypacya oparta na swobodzie pracy bez żadnych ograniczeń, równie jest pożądaną jak konieczną i tej zwycięztwa nic nie powstrzyma. Takiej to, nie szalonych wybryków rozkiełzanych namiętności uległalizowanych słowem, chce autorka Marty gdy tak dramatycznie, tak wymownie za sprawą tą przemawia. Biedna Marta wypieszczona i kochana, wykształcona i inteligentna, w chwili nieszczęścia nie opuszcza rąk, nie jęczy i nie prosi o pomoc, lecz sama pragnie wziąść się do pracy i praca przychodzi i z rąk się wymyka, bo nic dokładnie nie umie, wszystkiego po troszku, po odrobince wyuczyła się, o wielu rzeczach ma pewne pojęcie i wyobrażenie ale w niczem dokładności. Nieszczęśliwa szarpie się, bije by dostać mleko i chleb dla dziecka, walczy przechodząc całą fazę najróżniejszych uczuć, od zwątpień i rozpaczy do wysiłków energji; od żalu i goryczy do wzgardy i nienawiści; od szlachetnej dumy aż do ostatecznego zgnębienia, aż do obudzenia gorączkowej żądzy pieniędzy co miały dać zdrowie jej dziecku, aż do targnięcia się na cudzą własność, aż do samobójstwa. A przecież ta kobieta nie chciała nic więcej jak tylko pracy i chleba przy jej pomocy. Wszędzie stanęła na drodze przeszkoda, wypływająca nie z charakteru jej ale z wadliwego ustroju społeczeństwa. Marta to dramat wielki, straszny prawdą, to jęk wyrwany z piersi tysiąca kobiet, to wołanie o sprawiedliwość dla tych co cierpią, to odbicie się tej walki którą ludzkość prowadzi od tylu tysięcy lat, walki dobrego ze złem, prawdy z fałszem.

Tendencye więc p. Elizy Orzeszkowej są postępowe lecz nie wybrykowe; nie nazywa ona swawolę wolą, cynizm odwagą przekonań; tradycya dla niej nie jest literą martwą, nie zapiera się przeszłości i nie rzuca na to co minęło przekleństwa, lub uśmiechu wzgardy, ale chce pracy. Ognisko rodzinne nie jest dla niej zastarzałym przesądem, lecz podwaliną społeczeństwa pragnie więc by rodzina oparta była nie na konwencyonalnych formułkach, a na głębokiej miłości i dobrem zrozumieniu obowiązków tak ze strony rodziców jak też i dzieci. Nie mówi, że kobieta emancypowana powinna rzucać męża i dzieci, ale przeciwnie usiłować być dobrą żoną i matką, uczyć się i pracować. Teraz gdy te dwa słowa praca i nauka stały się talizmanem ludzkości, zatrzymanie kobiety w ciasnych szrankach, które dotąd światem dla niej były, stanowiłoby nieprzebytą tamę w cywilizacyjnym pochodzie ludzkości. Czyż bowiem kobieta może być dobrą żoną lub matką, jeżeli nie pojmuje wielkości idei pod sztandarem których ludzkość postępuje? Na to odpowiedź niech dadzą ci, co sami oświeceni i rozumni, mają żony których umysł nie oderwał się nigdy od poziomu, nie wzniósł się nigdy w wyższe sfery nauki. Wreszcie gdyby i nie to, kobieta ma prawo żądać by dla siebie i swych dzieci mogła zdobywać stanowisko odpowiednie swem potrzebom tak moralnym jak materyalnym i wymagać by nauka która dotąd dla niej przystępną nie była, stała się nie tylko wyłączną własnością jednej połowy rodzaju ludzkiego.

Hasłem więc znakomitej autorki jest postęp dobrze zrozumiany, oparty na silnych podstawach moralnych, na poczuciu równości ludzkiej, na wielkiej chrześcijańskiej zasadzie miłości bliźniego; a styl pełen wdzięku i siły zarazem poetyczny i naturalny, dramatyzowanie żywe, obrazy brane żywcem z natury, charaktery kreślone po mistrzowsku podnoszą jeszcze wartość jej powieściowych utworów.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 15 (27) Іюня 1876 г. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 27.

N. 1. Ubranie z materyi i grenadyny. Stosowna forma znajduje się przy ryc. 22—23 w Nr 28 Tygodnika.

Spódnica czarna jedwabna, ogarnirowana jest sutem, 13 cent. szerokiem plisowaniem z czarnej grenadyny, zakończonem nagłówkami, pod które dodane są od dołu i góry, w kontrafałdy ułożone, 7 cent. szerokie drugie nagłówki z materyi. Grenadynowe vêtement formą Princésse, wymaga pewnych zmian kroju, które osoby biegłe łatwo podług ryc. 1 zaprowadzą. Przód vêtement ubrany jest frendzlą, plisą jedwabną i koronką naszytemi w ząb okrągły, a z boków w górę podniesionemi, aż do 37 cent. od wcięcia stanu. Od dołu aż do tego garnirunku, dana jest grenadyna podwójnie do wierzchu wywinięta i razem z ubraniem przyszyta. Szerokość dolna przodów wynosi około 87 cent., w górze od wcięcia stanu dodaje się z boków 12—14 cent., tak ażeby pod luźno spadającemi brytami tylnemi, brzegi przodów mogły być ze sobą zeszyte, aż do 40 cent. od dołu; pozostałe brzegi podpięte są w fałdy 3—4 cent. głębokie. Bryty tylne krają się bardzo wązkie, tak że część od pleców i boczka wynosi razem tylko 56—60 cent. dolnej szerokości, długość zaś do połowy spódnicy dochodzi. Pomiędzy szew środkowy, dodany jest kawałek materyi, 85 cent. długi, od dołu 50 cent. szeroki a ku górze zwężony. Następnie całą objętość tylnych brytów układa się w głębokie fałdy, (w sposób na ryc. 1 wskazany) i przyczepia na wierzchu zeszycia brytów przednich, na frendzle końcami. Stanik przystrojony chusteczką szalikową ułożoną z plisy, koronki i frendzli.

N. 2. Sukienka z wyciętym stanikiem, dla małej dziewczynki. Krój jak do ryc. 10 Nr 23 Tygodnika.

Biała pikowa sukienka suto przystrojona wstawkami i szlaczkami haftu madera i wyszyciem z sutaszu. Biały słomkowy kapelusik ubrany białą wstążką i kwiatami.

N. 3. Ubranie dla panienki lat 13—15. Forma na arkuszu z krojami Nr II Fig. 5—9. Plecy na ryc. 21 w Nr 28 Tygodnika.

Suknia z beżu popielatego, plisy zaś szarfy i rękawy z materyału w paski niebieskie i popielate, a plisowanie przy spódnicy, 8 cent. szerokie, na przemian z materyału gładkiego i w paski. Na Fig. 9 i 9-a podajemy wzór kroju, miarę i połączenie brytów doskonałej formy spódnicy. Formę zaś vêtement Princésse załączamy na Fig. 5—8; punktami oznaczone linie na przodzie, wskazują miejsce naszycia garnirunku. Krótkie na guziczki zapinane plecy, przyszywa się podług jednakowych znaków do przymarszczonych od dołu boczków i przystraja szarfami do boczków przyszytemi, jak to widać na ryc. 21 w Nr 27 Tygodnika, na której vêtement jest zapięte z przodu. Szarfy z materyału w paski mają 72 cent. długości a 20 szerokości.

N. 4—5. Majtki dla dzieci lat 2—4. Krój Nr XIII Fig. 40.

N. 4. Majtki z otworami z boków.

Które przecina się od dwukropka do gwiazdki i zakończa oddzielnie dodanemi, szerokiemi obrębami, zachodzącemi jeden na drugi. U dołu majtki są drobno przymarszczone i wszyte w pasek $2\frac{1}{2}$ cent. szeroki a 28 cent. długi, zakończony falbanką haftowaną, 4 cent. szeroką. W górnym $3\frac{1}{2}$ cent. szerokim pasku, dają się na środku i przy rozporkach dziurki dobrze dopasowane do sznurówkowego staniczka.

N. 5. Majtki z tyłu wiązane.

Zeszywa się od a—b i u góry z przodu, na 5 cent. długości; rozporek podszywa się skośną listewką. W górnym pasku 4 cent. szerokim a 58 długim, 15 cent. od brzegów przeszywa się listewki do nawleczenia tasiemek, a z przodu i z boków daje dziurki do przypięcia do stanika.

Falbanka u dołu oszyta jest nicianą koroneczką.

N. 6. Sznurówkowy staniczek dla dzieci lat 1—3. Krój Nr V, Fig. 16—17.

Podszewkę kraje się z gęstego szyrtyngu lub płótna, wierzch z dymy angielskiej, dla sztywności jest cały w wązkie podłużne zakładki zaszyty, a pod niemi do podszewki przyszywany. Po zastębnowaniu boków, brzegi obejmuje się tasiemką, do sznurowania obrabia albo wybija dziurki, a u dołu przyszywa się guziki do przypięcia majtek lub spódniczki.

N. 7. Spódniczka dla dziewczynki lat 1—3.

Spódniczka z szyrtyngu albo flaneli składa się z dwóch prostych brytów, 28—34 cent. długich, mających 130—150 cent. obwodu. U dołu daje się zakładkę i haft, któren przy spódniczce flanelowej odrabia się kolorowa włóczką, przy czem dziurki są tylko wywiedzione łańcuszkiem lub sznureczkiem. Końce paska z tyłu są przyciągane na tasiemkę.

N. 8—9. Fartuszek dziecinny zupełnie osłaniający sukienkę. Krój Nr IV Fig. 13—15.

Fartuszki z szarego płótna, takiej długości jak sukienka są nader praktyczne dla dzieci, bo chronią ubranie od brudu i splamienia. Przód zaszywa się w górze w dwie głębokie kontrafałdy i gładko wszywa do karczka, a plecy są przymarszczone. Rękawy u dołu wszyte są w pasek, luźno przez rączkę przechodzący. Ryc. 8 przedstawia z przodu fartuszek wyszyty sutaszem, a ryc. 9 z tyłu takiż fartuszek, ozdobiony wyszyciem cierniowem i pliskami z kolorowego albo białego perkalu. Podług tej samej formy, kraje się sukienkę nocną.

N. 10. Sukienka dla dziecka lat 1—3. Krój Nr XII Fig. 37—39-b.

Prosty tylny bryt sukienki białej pikowej, z tyłu zapinanej, w górze przy rozporku założony jest w dwie głębokie kontrafałdy, przestębnowane wzdłuż 3 cent. od brzegów. U góry sukienka wszyta jest w prosty haftowany pasek; ramiączka są 10 cent. długie a 2 szerokie. Przystrojenie sukienki stanowią wstawki i falbanki haftowane 4 i 3 cent. szerokie, oraz łatwe wyszycie sutaszem. Na zeszyciu przy wstawkach i falbankach, dane wązkie ząbki z plecionki. Desenie haftu załączone na Fig. 39-a—39-b.

N. 11—12. Ranna sukienka dla dzieci lat 1—3. Krój Nr III Fig. 10—12.

Sukienkę z białej deseniowej dymki albo z piki, kraje się podług wyżej wskazanej formy, zaszywszy najpierw w materyale, 7 kontrafałd $1\frac{1}{2}$ cent. szerokich zdobiących przód, a do pleców do daje się na listwy 3 cent. szerokie do dziurek i guzików. Spódnicę z tyłu dopełnia bryt prosty, 70 cent. szeroki, mający w środku rozporek, któren układa się w drobne fałdy i przyszywa do pleców szwem do wierzchu, a zeszycie przykrywa stębnowaną listewką. Dalsze wykończenie sukienki wskazuje dokładnie rycina 11 i 12.

N. 13. Fartuszek bluzkowy dla dzieci lat 2—4. Krój Nr XIV Fig. 41.

Zarówno biały muślin, batyst lub perkal jak i materyał kolorowy służyć może na taki fartuszek, otwarty z tyłu. Na przodzie i plecach zaszywa się 4 kontrafałdy 2 cent. szerokie; w stanie z przodu przystębnowany jest pasek $2\frac{1}{2}$ cent. szeroki do którego od boków przyszyte są szarfy 4 cent. szerokie a 52 długie, z tyłu na kokardę związane. Falbanka 4 cent. szeroka zakończona ząbkami albo koroneczką, służy do oszycia fartuszka u dołu, oraz na fryzkę i epolety.

N. 14—15. Dwa napierśniki pikowe. Krój Nr XV Fig. 42 i Nr XVI Fig. 43.

Pod obadwa pikowe napierśniki dziecinne, można dodać podszewkę z szyrtyngu. Brzegi oszyć można falbanką ba-



N. 1. Ubranie z materyi i grenadyny, stosowna forma przy ryc. 22—23 w Nr 28 Tygodnika.

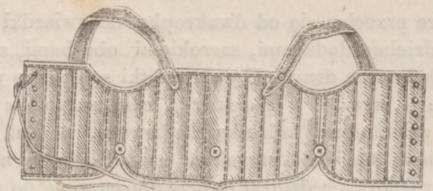
N. 2. Sukienka z wyciętym stanikiem dla małej dziewczynki. Krój jak do ryc. 10 w Nr 23.

N. 3. Ubranie dla panienki lat 13—15. Krój Nr II Fig. 5—9. Plecy na ryc. 21 w Nr 28.

tystową 3—4 cent. szeroką, haftowaną białą lub kolorową bawełną. Ryc. 14 przedstawia napierśnik z biało haftowaną falbanką, wyszyty z brzegu ściegiem cierniowym i stębnówką, a ryc. 15 napierśnik falbanką oszytą szydełkowemi pikotami z bawełny ponsowej i ozdobiony muszkami z białej i ponsowej bawełny, odrobionemi podług ryc. 10 w Nr 27 Tygodnika.



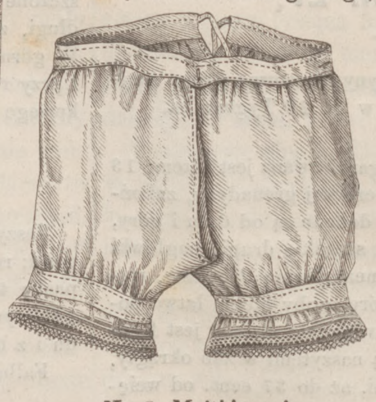
N.4. Majtki z otworami z boków dla dzieci lat 2—4. Krój Nr XIII Fig. 40.



N. 6. Staniczek gorsecikowy dla dzieci lat 1—3. Krój N. V Fig. 16—17.



N. 7. Spódniczka dla dziewczynki lat 1—3.



N. 5. Majtki zapinane z tyłu dla dzieci lat 2—4. Krój N. XIII, Fig. 40.



N. 8. Fartuszek dziecinny zupełnie osłaniający sukienkę. Plecy na ryc. 9. Krój Nr IV Fig. 13—15.



N. 9. Fartuszek dziecinny. Przód na ryc. 8. Krój N. IV, Fig. 13—15.



N. 10. Suknia dla dziecka lat 1—3. Forma i deseń wyszycia N. XII, Fig. 37—39.



N. 11. Ranna sukienka dla dzieci lat 1—3. Krój Nr III Fig. 10—12. Przód ryc. 12.



N. 12. Ranna sukienka dziecinna, plecy ryc. 11. Krój N. III, Fig. 10—12.



N. 13. Fartuszek bluzkowy dla dzieci lat 2—4. Krój N. XIV, Fig. 41.

N. 16—17. Napierśnik szydełkowy. Ścieg karbowany.

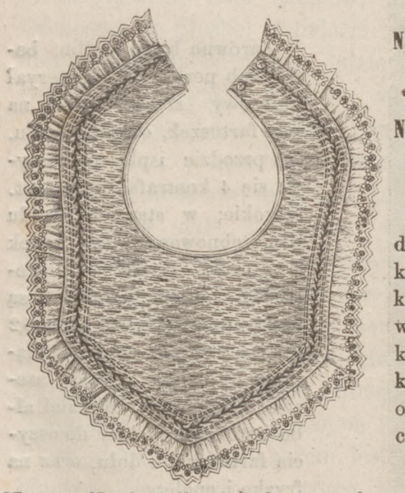
Materyał: Bawełna estramadura Nr 8 i wązka wstążeczka kolorowa.

Napierśnik mający 12 cent. środkowej wysokości, a 19 cent. w najszerszem miejscu, robi się tam i na powrót o: ścisłemi zaczepianemi od spodu w oczko poprzedzającego rzędu. Deseń stanowią słupki dodawane na wierzchu co drugie obrobienie, przedzielane 3 o: ści: a zaczepiane zawsze w naprzeciw leżące o: 3-go rzędu od dołu. Robotę zaczyna się od dołu i wykonywa podług formy wyciętej z papieru. Próbkę naturalnej wielkości ściegu i szlaku, przedstawia dokładnie ryc. 17. W szlaku przez dziurki między słupkami, przewłóczy się 2 razy kolorową wstążeczkę.

N. 18—19. Szlaki do ryc. 8 i 9.

N. 20—25. Rozmaite parasole.

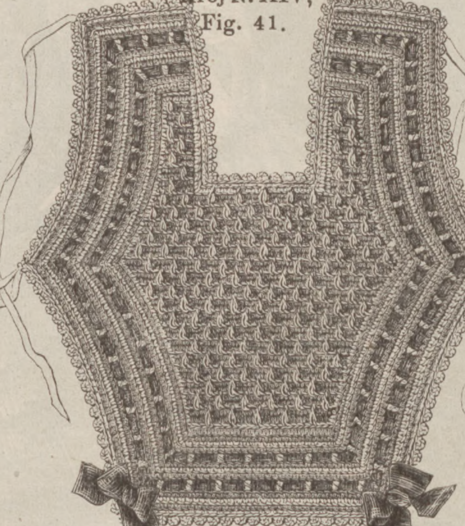
Tak parasole od deszczu jak parasolki en-tout-cas i markizy odznaczają się w tym roku wypukłem wygięciem, które odróżnia je od przeszłorocznych.



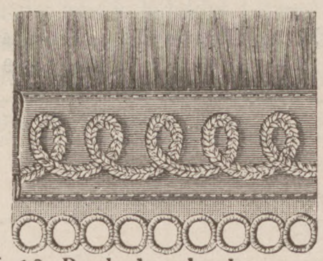
N. 14. Napierśnik dziecinny zapinany na guziki. Krój N. XV, Fig. 42.

N. 20. Parasol od deszczu z kolorowym spodem.

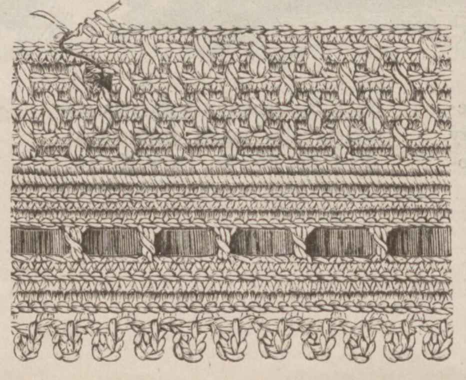
Kiprowane jedwabne pokrycie parasola, ma z wierzchu kolor czarny a od spodu karmazynowy. Na prawą stronę wywinięty obrąbek, stanowi kolorową wypustkę z brzegu ładnie wyrobiona laska drewniana, ozdobiona sznurkiem i kwastami z karmazynowego jedwabiu.



N. 16. Napierśnik szydełkowy ścieg karbowany.



N. 18. Pasek do rękawka do ryc. 8. Wyszycie sutaszem i koronka triming.



N. 17. Szlak i próbka tła do napierśnika ryc. 16.



N. 19. Garnirunek do ryc. 9. pliski z wypustką i wyszycie ściegiem cierniowym.

N. 21. Parasolik czarny en-tout-cas z kolorową jedwabną podszewką i wypustką z brzegu, ma przy ładnie wyrobionej lasce z ciemnego rogu, dodaną do zawieszania na ręku wstążkę 4 cent. szeroką, zawiązaną na kokardę.

N. 22. Parasolik podróżny z płótna *écru*.

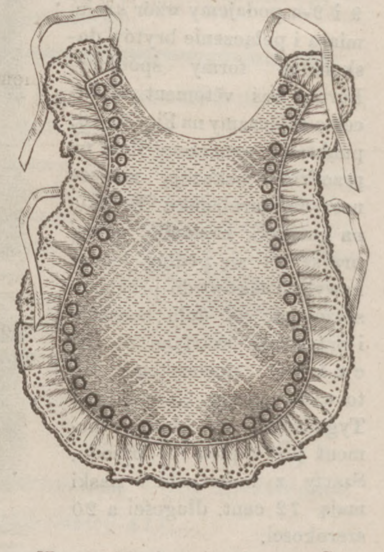
Parasolik z mocną, u dołu okutą laską drewnianą, z łańcuszkiem stalowym przy rękojeści; pokryty jest płótnem écru i oszyty w ząbki wyciętą, 8 cent. szeroką falbaną. Do zapinania służy kółko płócienne na sztywnej podszewce uszyte, a przyczepione do parasolika, sznureczkiem danym pionowo przez całą długość.

N. 23. Parasolik z pręcikami owiniętemi kolorową wstążeczką.

Do parasolika pokrytego czarną materyą, pomiędzy zeszycie kwaterek dane są kolorowe wypustki; frendzla czarna przerabiana jedwabiem kolorowym, a wszystkie pręciki od spodu, owinięte wązką kolorową wstążeczką.

N. 24—25. Chiński parasolik, z haftowanem pokryciem.

Czarny repsowy parasolik, odznaczający się niezwykłą formą i pięknie wyrobioną laską; z brzegu oszyty jest szeroką, cokolwiek nadmarszczoną koronką *crême*, a z wierzchu ozdobiony powleczeniem, odrobionem na muślinie białym, ściegiem sznureczkowym i dzierganym, z aplikacyą batystu i tasiemeczki koronkowej w kolorze crême. Rycina 25 przedstawia jedną kwaterkę w naturalnej wielkości, lecz bez dodania w górze przedłużenia, które podług pagodowej formy parasolika dodać trzeba. Każdą kwaterkę do

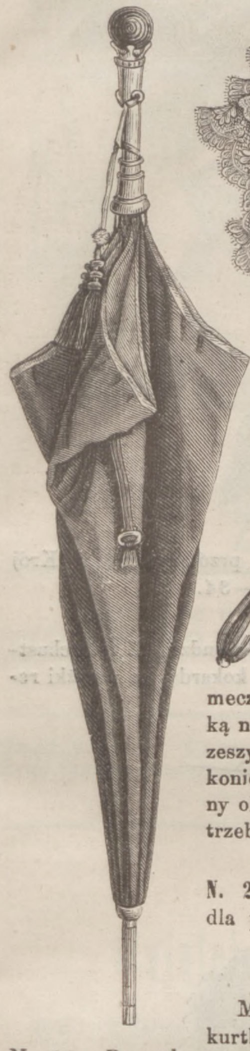


N. 15. Napierśnik wiązany. Garnirunek na ryc. 10 w N. 28. Krój N. XVI, Fig. 43.

roboty trzeba bardzo starannie przyfastrzygować na papierze lub ceratce, kładąc muślin a na nim batyst crême, na którym deseń jest odrysowany; następnie wszystkie kontury gęsto wywieść i podług deseniu ryc. 25, odziergać z jednej strony bawełną crême, ciemniejszą od batystu, z drugiej wyciąć batyst przy wywodzeniu i naszyć brzeg tasiemeczką koronkową. Takąż tasiemeczką naszyte są brzegi kwaterek, które zeszywa się między tasiemeczkami. Nakoniec dobrze dopasowany okrągły otworek górny trzeba odziergać.



N. 21. Parasolik en-tout-cas z kolorową podszewką.



N. 20. Parasol od deszczu.



N. 24. Chiński parasolik z haftowanem pokryciem. Deseń naturalnej wielkości ryc. 25.



N. 25. Deseń na kwaterkę do parasolika. Haft na muślinie z aplikacyją i tasiemeczką koronkową.



N. 23. Parasolik z pręcikami owiniętemi kolorową wstążeczką.



N. 22. Parasolik podróżny z płótna écru.

N. 26. Domowe ubranie dla panów. Krój Nr I, Fig. 1—4.

Model kurtki odrobiony był z mocnego i dość grubego wełnianego materyału, w kolorze ciemno popielatym, z wypustkami i kołnierzem z sukna zielonego, a guzikami rogowemi. Na lato jednak równie odpowiednie są dobre dymki, dreliszki, lub inne letnie materyały. Podszewkę daje się tylko w rękawy, a przody pod dziurki i na wywinięcie klap, podszywa się listwą z tego co wierzch materyału. Kieszonki podszywa się od spodu, a do dolnych dodaje się klapki 6 cent. szerokie. Dziurki do guzików obrabia się przy obydwóch przodach, a kołnierz zapięty jest na mocną haftkę.

N. 27. Ubranie dla młodej panienki. Krój ryc. 40 w Nr 28 i Figura 26-b.

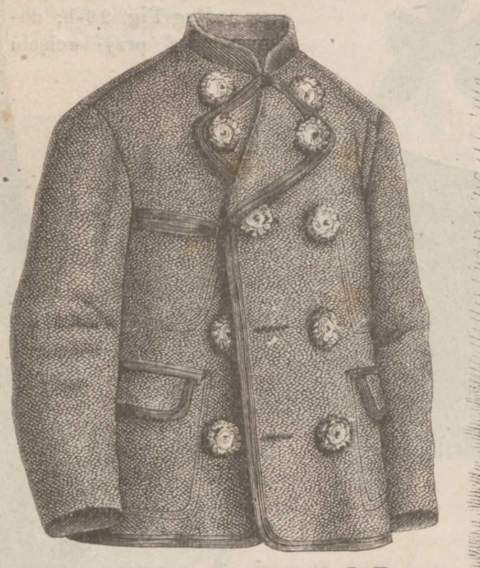
Całe ubranie jest z indyjskiego batystowego płótna, koloru szafirowego; spódnica podług ryc. 40 przykrojona, u dołu oszyta jest szerokiem plisowaniem. Vêtement przykrawa się podług odpowiednio skróconej formy *Princesse* a plecy podług Fig. 26-b; dodaną zaś przy wcięciu w pasie szerokość brytów, zakłada się w dwie kontrafałdy, widoczne na ryc. 27. Z przodu vêtement zapina się na dwa rzędy guzików; garnirunek stanowi plisa z wypustkami, szlak haftowany na białym batyście i kokardy z szafirowej repsowej wstążki. Plecy vêtement są o 37 cent. dłuższe od boczków, tę zbywającą długość, zaszywa się 17 cent. od wcięcia w stanie, w 4 lub pięć fałd założonych od dołu. Do podpięcia w środku przyszyty jest (między kontrafałdami,) mały guzik, a 35 cent. niżej, przy spódnicy dana pentelka którą się na niego zakłada.

N. 28—29. Paltocik formą kirasową, przód na ryc. 29. Krój Nr X Fig. 29—34.

Na ryc. 29 widziemy z przodu paltocik z czarnego aksamitu, a na ryc. 28 plecy do też fasonu, przy paltociku z modnego wełnianego, kropkowanego wyrobu. Przy obydwóch wypustki są z czarnego repsu, a wszycie kołnierza przykrywa wstążka repsowa 6 cent. szeroka, z przodu na sutą kokardę związaną. Pod obadwa paltociki dana fularowa podszewka.

N. 30—32. Kołnierzyk i rękawek z plisowanym garnirunkiem. Krój Nr XVIII Fig. 47—48.

Kołnierzyk przykrojony podług Fig. 47, z cienkiego płótna z grubszą podszewką ozdobiony jest plisowaną, batystową falbanką do której wzór haftu załączamy na ryc. 32. Wykładane plisowanie przy podłużnym wykroju chu-



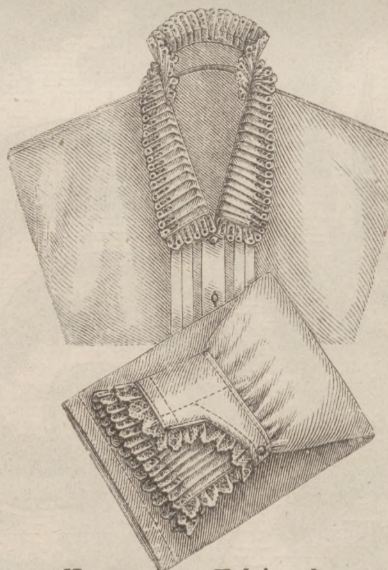
N. 26. Domowe ubranie dlą panów. Krój N. I, F. 1—4.

steczki, mające z przodu 5 cent. szerokości, z tyłu jest stopniowo trochę zwężone.

Przy rękawku z mankietem, należącym do tego garnituru, podajemy wzór innego garnirunku. Podwójny lub potrójny płócienny mankiet, oszyty jest mocną koronką, która także zastępuje haft przy batystowem, od spodu podszytem plisowaniu.



N. 27. Ubranie dla młodej panienki. Krój zobaczyć r. 40 w N. 28 i Fig. 26-b.



N. 30—31. Kołnierzyk i rękawek z plisowanym garnirunkiem. Krój Numer XVIII Fig. 47—48

N. 33. Chustka trójkątna z szeroką siatkową frendzlą.

Najmodniejsze okrycia spacerowe letnie, stanowią nie wielkie chustki trójkątne z kaszmiru albo jedwabnego repsu, oszyte bardzo szeroką koronką, albo frendzlą siatkową. Model ryc. 33, był z czarnego kaszmiru, a do prostych 66 cent. trzymających brzegów, przyrobiona była siatka, z grubego kordonkowego jedwabiu, trzymająca wraz z frendzlą dolną, 42 cent. szerokości. Na tle siatkowem przyrobione

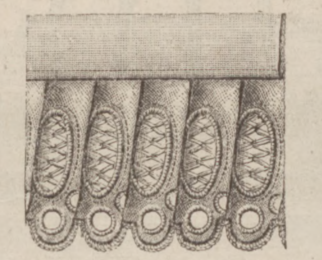


N. 28. Paletocik formą kirasową, przód ryc. 29. Krój N. X, Fig. 29—34.

były 3 rzędy wązkiej, kwaścikowej frendzli. Z tyłu chustka jest przefałdowana i przepięta kokardą ze wstążki repsowej, z długiemi końcami.



N. 29. Paltocik formą kirasową, plecy ryc. 28. Krój N. X, Fig. 29—34.



N. 32. Garnirunek do ryc. 30—31.



N. 33. Chusteczka trojkątna z szeroką siatkową frendzlą.